Nr. 1 (1254). Warszawa, 25 Grudnia 1904 (7 Stycznia 1905 r.) **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

PORT ARTURA.

—✦—

Przed tygodniem jeszcze nie było człowieka ze zdrowym rozsądkiem, któryby mógł wierzyć w zapewnienia z Czy-fu, że największa warownia świata trzymać się będzie jeszcze śmiało do wiosny; ale nie było też i jednego człowieka ze zdrowym rozsądkiem, któryby przy ówczesnym stanie zdobyczy japońskich, mógł spodziewać się upadku przed upływem jakich trzech tygodni do miesiąca. Po tygodniu rzeczywistość zadrwiła i z najrozsądniejszej niewiary i z najrozumniejszych przewidywań. Dnia 2 b. m. do Londynu, Berlina i Wiednia nadbiegły pierwsze pogłoski o poddawaniu się twierdzy, a d. 3-go b. m. z Tokio rozległa się po świecie urzędowa wiadomość o propozycyi gen. Stessla, uczynionej gen. Nogi, aby przyjął poddanie się na warunkach, ocalających honor wojskowy załogi, która istotnie broniła się znakomicie, stała na wysokości honoru wojskowego i obecnie, upadając, ma prawo do tej pociechy w nieszczęściu, jaką daje owo Franciszka I-go *tout est perdu fors l'honneur.*

Tego też zdania był sam mikado japoński, gdy w słowach, tchnących ludzkością, a dowodzących wysokiego w tej pogardzanej rasie żółtej rozwoju kulturalnego, obrońcom Portu-Artura — bo nie samemu tylko gen. Stesslowi nakazał przyznać honory wojskowe. Sam gen. Nogi, telegrafując w nocy z d. 1—2 b. m. do mikada wstawiał się za warunkami jak najzaszczytniejszymi. Osiągnięcie celu—i takiego jeszcze celu—daje ostateczne zadowolenie, a prawość w czuciu i myśleniu nie pozwala zamykać oczu na istotne zasługi i wartość przeciwnika.

Rzeczywistość, szydząc z rozumów, sama wszakże nie uczyniła cudu sprzeciwiającego się rozumowi; owszem fakt, który światu przyniosła, sama logicznie wypracowała na wypadkach. Najważniejszym z nich było w same święta zdobycie wielkiego fortu Erlung-szanu, na północo-zachodzie; zajęcie w parę dni portem Szunszu-szanu, odcięcie Liaote-szangu od twierdzy,—zdobycie kilku fortów we wschodniej połaci terytoryum — jak fort N. i Tun-ki-kuan-szan — wytworzyły summę takich zdobyczy, że załoga, która nie zdołała im zapobiedz, nie miała też i siły do powstrzymania dalszego pochodu, którego ostatecznym wyrazem musiałoby być wdarcie się do wnętrza twierdzy. W chwili wielkiej niemocy, wielkiego braku ammunicyi i żywności — pokrywanego ciągle kłamliwemi doniesieniami z Czy-fu, mogła i sama załoga wywrzeć nacisk na poddanie się, śmierć zaś gen. Kondratienki, który był rzeczywistą duszą obrony, a zginął w wybuchu pod fortem w d. 15 b. m. nie zachęcała massy, przez niego ożywianej, do rozpaczliwego czynu śmierci po obronie do upadłego.

Do tej chwili, do południa d. 3 b. m., nie było jeszcze wiadomości o poddaniu się, jako fakcie dokonanym; musiał on jednak do wieczora tego dnia spełnić się już nieodwołalnie. Kapitulacyę przeto uważamy za fakt, a Port-Artura za będący już w rękach japońskich — po dziesięciu przeszło latach, od listopada 1894 ponownie dostający się Państwu nieustającego wschodu słońca. Na dalsze prowadzenie wojny będzie miała wpływ wielki ta kapitulacja największej w świecie twierdzy. Uwaga świata skupia się na wodach oceanu Indyjskiego i południowem morzu Chińskiem. Na lądzie najważniejsze jest wzmocnienie się Japończyków, wyzwolonemi z pod Portu Artura siłami.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Gen. Stessel d. 1 b. m. zaproponował wodzowi japońskiemu Nogi poddanie twierdzy na warunkach zaszczytnych. Do południa d. 3 b. m. nie było jeszcze wiadomości o dokonanej kapitulacyi.

W Europie p. Koerber nie doczekał do nowego roku na swojem prezesowstwie. Już przed świętami chory był na kurcze żołądka, po świętach dostał już ostatecznych kurczów ministeryalnych. Odbiegła go odwaga do siedzenia w gnieździe os, do rządzenie z samym tylko § 14, bez widoków oparcia się nawet pod takiemi skrzydłami, o jakotako pewną i uczciwie, w interesie własnym, trzymać z nim gotową większość. Cesarz przyjął jego osobistą dymisyę, bez dymisyi całego gabinetu: forma nie parlamentarna, nie zwyczajowo-konstytucyjna, ale bo też i sam gabinet z parlamentaryzmu i zwyczajów rzetelnie konstytucyjnych nie wyszedł. Następcą p. Koerbera został p. Gautsch, ongi następca Badeniego, przedtem minister oświaty. Ministeryum spraw wewnętrznych z martwej ręki Koerbera wziął Byland Reydt, niegdyś min. rolnictwa, a ministeryum sprawiedliwości—Klein, znakomity prawnik, prawoznawca i kodyfikator.

Na Węgrzech skąd cesarz w tych dniach wraca do Wiednia, w tych dniach też, 4 lub 5-go stycznia miało się dokonać rozwiązanie Izby poselskiej w Peszcie. Cesarz-król z początku chciał sam mowę tronową wygłosić; według ostatniej wszakże wiadomości wyręczy go p. Tisza, puszczający się odważnie na rozbujałe fluktu rozumu politycznego wyborców węgierskich — których hasła rozumowe nie

bardzo przecież rozczulają. Może i sam zginąć i ostatną szmatę legalności wobec Austryi w burzy utracić.

W Marokku zaniosło się już było na interwencyę czyli najazd francuski. Sułtan jednak w ostatniej chwili się cofnął i dał rezydentowi zapewnienia uspakajające; powtórzyli je ministrowie, powtórzą pewno i szeiki, i odtąd już zacznie się spokojny przez podkopywanie instytucyi miejscowych a organizowanie nowych pod rozmaitemi pozorami podbój przeznaczonego na ofiarę sułtanatu. Energiczni politycy francuscy doradzają wtargnięcie od Algeru i wdarcie się między koczujące pokolenia marokańskie, wschodnie. Rzeczpospolita usłucha zapewne i p. Delcassego działającego od Fezu i polityków pragnących działania od Algeru.

Rozprawy nad rozwodem w małżeństwie kościoła z Rzeczpospolitą rozpocząć się mają d. 13 b. m. Pierwotny przed półtora rokiem wytworzony projekt Brianda doznał zmian znacznych, nie takich jednak, aby wówczas autor nie mógł być dzisiaj sprawozdawcą.

Sprawa Syvetona, jednego z łotrów, tak licznych w dzisiejszej Francyi, a zwłaszcza wśród nacyonalistów, głęboko wzruszyła podstawy moralne tego stronnictwa; trzeba też przewidywać jego rozkład, z oczywistem dobrem rzeczypospolitej.

Budżet japoński na r. 1905/6 (od kwietnia) przewiduje w normalnych dochodach państwa, wskutek podwyższenia podatków i oszczędności bardzo wielkich w wydatkach — 113 mil. przewyżki. Zabiera ją zaraz wojna, zabiera nadto z pożyczek przeszło 660 mil. —w sumie ogólnej pochłonie około 780 mil. jenów (po $2\frac{1}{6}$ szylinga). W rzeczywistości wypadnie miliard.

ŻYCIE SPOŁECZNE

DO MISTRZÓW.

„Na widnokręgu błysnął świt"....

„Doniosłość... nie da się jeszcze dziś wymierzyć..."

„Jest to chwila brzemienna daleko sięgającemi następstwami."

„Chwila osobliwa..."

„Chwila nieosobliwa..."

„Chwila ani osobliwa, ani nieosobliwa..."

„Powinniśmy się zdobyć na trzeźwość sądu."

„Za dużo już tego otrzeźwiania."

„Przesadny optymizm byłby bardzo niebezpieczny."

„Wszczepianie pesymizmu grozi nam zupełną apatyą."

Chyba wiecie, skąd te wypisy... Z „Metody" *à la* Olendorf, dostarczającej publicystom warszawskim wyrażeń, określających ważność niezwykłych faktów politycznych. Zanadto ci panowie są skończeni i o swojej sile umysłowej przekonani, ażebym ja, skromny słuchacz wykładów wszechnicy dziennikarskiej, śmiał wskazywać i łatać dziury w szatach mądrości przewodników narodu. Nie, tak zuchwały nie jestem. Ale pozwolę sobie stanąć w obronie istot bardzo pospolitych, posiadających pięć klepek w głowie, chłopski rozum, może nawet jakąś wiedzę, słowem, tak zwanych czytelników. Zapytam tedy, dlaczego szanowni mistrze tak nizko cenią naszą inteligencyę, że im dla zważenia jakiegoś wypadku wystarczy rzucić na drugą szalę garść piasku, używanego do zasypywania ludziom oczu? Dlaczego mniemają, że my, jak dzieci, będziemy z zachwytem wpatrywali się w mydlane bańki ich pustej frazeologii? Dlaczego wątpią, ażebyśmy zdolni byli samodzielnie powiedzieć sobie wobec jakiegoś faktu: „jest to chwila bezimienna"... lub „jest to chwila osobliwa"? Dlaczego nie poprzestają na ogłoszeniu nam oryginalnego tekstu aktu prawodawczego, lecz go następnie parafrazują, zmieniając jedynie kolej wyrazów i tym sposobem niby pomagając naszym tępym głowom do zrozumienia go? Czcigodni mędrcy! Wierzcie nam, że z wielką wdzięcznością przyjęlibyśmy od was jasność, rozlaną po jakiemś polu widzenia, które bez waszego światła byłoby dla nas ciemnem. Ale wy właśnie w tych sprawach, w których przybieracie najuroczystsze miny, nie umiecie lub nie możecie nam nic powiedzieć. Czy sądzicie, że my nie spostrzegamy, jak wy komentując coś, jedne wyrazy sztucznie ustawiacie, na inne kładziecie mocne akcenty, których one nie posiadają i tym sposobem chcecie w nasze mózgi wbić metafizykę oczywistości, jakoby przez was należycie pojmowaną?

Nie, wybrani mężowie w narodzie, tak być nie powinno. O przedmiotach ważnych należy albo mówić jasno i gruntownie, albo nie mówić wcale. Kwestye zaś, dotyczące podstaw życia społecznego, to ani książki przyjaciół, reklamowane w banalnych wykrzyknikach, ani dekadenckie „dreszcze", wymagające ciemności. Gdy po takich kwestyach ślizgacie się na frazeologicznych łyżwach, nietylko nie otwieracie ich do dna przed uwagą czytelnika, ale zachęcacie go do przesuwania się po wierzchu spraw pierwszorzędnych. Wychowujecie nas w bladze, lekceważeniu tego, na czem nici naszego żywota owijać się muszą, uczycie pospiesznego załatwiania się z tem, nad czem długo myśleć powinniśmy, wytwarzacie cudaczne fikcye, podsuwacie nam ciągle pod oczy szkło zwiększające lub zmniejszające rzeczywistość, idziecie za wskazówkami waszego interesu wydawniczo-redakcyjnego, a nie za śladem prawdy, gotowi jesteście ziarnko maku rozdąć w planetę, jeżeli to bodaj na chwilę podrażni ciekawość ludzką.

Otóż dostojni mistrze myśli naszych, wiedźcie, że my to wszystko widzimy i w waszych pismach czytamy bardzo pilnie... telegramy.

Go—on.

LISTY GALICYJSKIE.

Nędza uniwersytetu Jagiellońskiego. — Z życia młodzieży akademickiej. — Wystawa drukarska.

Stara wszechnica Jagiellońska jest prawdziwym kopciuszkiem w szeregu uniwersytetów, istniejących w państwie austryackiem. Brak odpowiednich sal wykładowych, najpotrzebniejszych klinik i katedr, niesłychanie ubogie uposażenie istniejących już laboratoryów—wszystko to składa się na opłakany stan uniwersytetu krakowskiego wskutek macoszego traktowania tej uczelni krajowej przez austyackie ministeryum oświaty. Senat akademicki przedsiębierze nadzwyczajnie mozolne starania w celu bodaj częściowego polepszenia tego położenia, a prawie wszystkie rozbijają się o niechęć i formalistykę biu-

Wacław Sieroszewski.

Stolica krainy

CICHEGO PORANKU*)

Szin-mun-giun opowiedział mi legendę dworską, która wiernie maluje dawniejsze życie prywatne monarchów korejskich, jakiem ono pozostało zresztą i po dziś dzień:

— Przed 200 laty panował król Cchan, który upodobał sobie bardzo drugą żonę a zbrzydził pierwszą i kazał ją nawet odesłać z powrotem do rodziców za bramę Wschodnią. Tam wygnanka pędziła żywot w wielkiej żałobie, nie myjąc twarzy, nie czesząc włosów i nie obcinając paznokci. Tymczasem król coraz bardziej przywiązywał się do swej wybranki. Nareszcie ministrowie zwrócili mu uwagę, że to niedobrze tak krzywdzić prawowitą małżonkę, że należy kochać obie żony jednakowo.

Ale król nie usłuchał. Wtedy ministrowie kazali wydrukować książkę i niby stare dzieło podali mu ją, mówiąc:

— W tej księdze jest opisana historya jak pewien król wyróżnił niegdyś drugą żonę, a pogardził pierwszą i co z tego wynikło. Niech Wasza Cesarska Mość raczy łaskawie przeczytać!!

A stało w tej książce, że wskutek niesprawiedliwej miłości królewskiej spłynęły na kraj wielkie nieszczęścia. Król zrozumiał, o co chodzi, posłał po swoją pierwszą żonę, kazał się jej umyć, uczesać i wrócił ją do swej łożnicy... Odtąd kochał obie, ale tajemnie przekładał zawsze drugą, chętniej się z nią bawił i obcował. Aż zdarzyło się, że zrana, gdy przy myciu igrał z nią, ta broniąc się i odpychając go od siebie, zadrasnęła go wypadkiem w czoło. Jest takie prawo, że kto cesarza dotknie a tembardziej zrani musi umrzeć. Ministrowie dostrzegli znak na czole króla i dowiedziawszy się, że uczyniła go druga jego żona, zażądali wydania jej. Król odmówił. Dwadzieścia razy zwracali się doń, wciąż odmawiał, aż spadły na kraj susze niezmierne, wtedy wydać ją musiał. Ministrowie kazali jej zażyć truciznę, lecz ponieważ nie chciała umierać i skopała nawet nogami dostojników, co jej czarę przynieśli, postanowiono udusić ją między podwójnemi drzwiami, aby stało się zadość prawu i ona umarła, nietknięta rękami ludzkiemi. Pochowano ją za bramą południową (pałacu), tam gdzie teraz poselstwo rosyjskie. Król nie mógł jej zapomnieć, ani pocieszyć się po jej śmierci, wciąż ciągnął na jej mogiłę. Przed tem bywało najwyżej po dwa „wyjścia (ku-don)" na miesiąc, teraz uczyniło się ich 29, a więc co dzień w małym miesiącu, a w dużym został jeden tylko dzień wolny.

W zamęt popadły wszystkie sprawy, urzędnicy nie jedli, nie spali, nie robili, gdyż musieli towarzyszyć królowi przy „wyjściach". A król wciąż siedział na mogile królowej, wzdychał i płakał. Dwadzieścia razy ministrowie przedstawiali mu, że nie należy tak bardzo rozpaczać, że powinien swe drogocenne zdrowie szanować. Nic nie pomagało. Wtedy umyślili ciało w nocy wykopać i wywieść daleko. Lecz przyśniła się królowi nieboszczka żona i ostrzegła go o zamiarze ministrów:

— Dobrze, niech mię odkopią, lecz niech pochowają mię, gdzie wskaże twoja kró-

*) Jest to ciąg dalszy pracy, która w roku ubiegłym wychodziła w *Prawdzie* pod tytułem: „Klucz Wschodu".

rokratyczną rządu centralnego. Bezowocność zabiegów senatu akademickiego i poszczególnych profesorów zmusiła młodzież do poczynienia energicznych kroków w celu wprowadzenia jakichś zmian. Na zgromadzeniach studenckich w Krakowie uznano za najpilniejsze: utworzenie kliniki psychyatrycznej, zbudowanie osobnego gmachu na kliniki dermatologiczne i laryngologiczne i przywrócenie historyi kultury medycyny. W odpowiedzi na to medycy krakowscy otrzymali — dalsze zmniejszenie łóżek w klinice. Wywołało to powszechne oburzenie; słuchacze medycyny postanowili już byli zastrajkować. Rządowi najwidoczniej zaimponowało to ich stanowisko, gdyż przyrzekł, że od 1-go stycznia liczba łóżek w klinikach zostanie znowu doprowadzona do stanu pierwotnego.

Jak tragiczne jest położenie klinik na uniwersytecie krakowskim świadczą najlepiej następujące cyfry. Pomimo, że potrzeby wzrastają z roku na rok, a wydatki na utrzymanie chorych w nowozbudowanych klinikach zwiększyły się znacznie, suma asygnowana na nie podawnemu zostaje ta sama. Przy obecnych warunkach najmniejsze minimum utrzymania wszystkich klinik przy ogromnej, naturalnie, oszczędności wyniosłoby 300,000 koron. Tymczasem ministeryum oświaty daje 226,400 koron; co może wystarczyć zaledwie na sześć do siedmiu miesięcy, i wskutek czego te kliniki od kilku już lat są wcześniej zamykane i później otwierane, niż w jakimkolwiek innym uniwersytecie.

Jeśli zajrzymy do ostatniego austryackiego preliminarza budżetowego (na rok 1905), to zobaczymy, że uposażenie polskich uniwersytetów w porównaniu z uposażeniem niemieckich jest upokarzająco nizkie. Na utrzymanie uniwersytetu niemieckiego

w Wiedniu przeznaczono	3,244,200 k.
„ Pradze	1,334,977 k.
„ Gracu	1,197,600 k.
„ Insbruku	1,021,500 k.
„ Czerniowcach	395,600 k.

Natomiast na obydwa uniwersytety polskie — lwowski i krakowski — 2,366,400 k. razem, a mianowicie na krakowski 1,371,200 k., na lwowski zaś 995,200 k. W ten sposób wydatek na dwa uniwersytety polskie jest o 867,800 k. mniejszy, niż na jeden uniwersytet wiedeński a trzy razy mniejszy, niż na uniwersytety niemieckie w Austryi. Przy porównaniu pozycyi szczegółowych zobaczymy, że na utrzymanie zakładów i zbiorów naukowych Kraków dostaje nietylko mniej, niż Wiedeń, ale nawet mniej niż Grac. Kraków traktowany jest na równi niemal z Insbrukiem.

Cóż więc dziwnego, że nasze uniwersytety krajowe nie stoją na wysokości zadania i nie mogą należycie spełnić czynności najwyższych uczelni, pomimo że młodzież garnie się do nich coraz chętniej i liczniej.

Parutysięczny jej zastęp we Lwowie i w Krakowie żyje własnem, odrębnem życiem, tworząc różnobarwną, zgiełkliwą rzeczpospolitą, w której ścierają się najrozmaitsze prądy i kierunki. Świat to zamknięty najczęściej w sobie, mało znany reszcie społeczeństwa, ale jest to retorta, z której wychodzą nowe zastępy inteligencyi, mającej zająć stanowisko odpowiedzialne w życiu publicznem. Pewną rolę odgrywają studenci już obecnie, mianowicie spełniają czynności pomocnicze dla różnych partyj, zwłaszcza opozycyjnych. Dawniej młodzież rozpadała się na wielkie skupienia — „Czytelnie Akademickie" lub inne stowarzyszenia, w których łonie odbywały się zapasy programowe, staczały walki stronnicze i mniejszość ulegała zazwyczaj większości, która uważała się za reprezentacyę ogółu młodzieży. Dziś jest inaczej. W ciągu ostatnich lat kilku jesteśmy świadkami różniczkowania się młodzieży i jej stowarzyszeń. Wystąpienie demokratów narodowych i ogarnięcie przez nich znacznej części żywiołów, dawniej całkiem biernych i reakcyjnych, zmusiło mniejszość postępową do wyodrębnienia się w stowarzyszenie osobne. Jednocześnie klerykali poczęli organizować swoją młodzież — tak wyrosły t. zw. „sodalicye maryańskie", skupiające po za jednostkami ideowo-klerykalnemi całe mrowie najwstrętniejszych osobistości karyerowiczowskich. Przewaga demokratów narodowych wśród pewnej części młodzieży niedługo też trwała; mimo przekształcenia się demokracyi narodowej na partyę zupełnie reakcyjną i klerykalną odpadły od jej młodzieży jednostki i całe grupy — nie skrajnie postępowe, ale o tyle ideowo przyzwoite, że partya narodowo-demokratyczna budziła w nich niesmak. W ten sposób i we Lwowie i w Krakowie wytworzyła się grupa „ludowców", idąca bardzo często ręka w rękę ze skrajnymi postępowcami, ale zachowująca pewną samodzielność. Każdy nowy, fałszywy krok demokratów narodowych odbija się natychmiast liczebnem zmniejszeniem ich zwolenników wśród młodzieży. Świeżo np., kiedy młodzież postępowa po dobitnem napiętnowaniu korespondencyj warszawskich „Słowa Polskiego" powybijała szyby w lokalu redakcyi tego pisma, znaczna część dotychczasowych zwolenników demokracyi narodowej wśród młodzieży lwowskiej pospieszyła wyrzec się wszelkiej solidarności z tą partyą*). W Krakowie rozbicie młodzieży na odłamy narodowo-demokratyczny i postępowy stało się też faktem dokonanym. I tu zjawili się również ludowcy, w łonie postępowców odbywa się też dalsze różniczkowanie. Przez jakiś czas skupiali się oni w „Zjednoczeniu", które zdobyło sobie piękną kartę w historyi ruchu młodzieży krakowskiej; po rozwiązaniu „Zjednoczenia" śladami jego począł kroczyć „Ruch". Ale epoka rozkwitu „Ruchu" trwała bardzo krótko, gdyż zapanowało w nim niepodzielnie paru warchołów, którzy do dyskusyi usiłowali przeflancować ohydną taktykę „Przeglądu" p. Róży Luxenburg. Wobec tego wszelkie współżycie i wspólna praca w dziedzinie samokształcenia zostały uniemożliwione, i znaczna część młodzieży postępowej ujrzała się po za nawiasem stowarzyszeniowego życia studenckiego. Z łona tej to młodzieży, stanowiącej niezaprzeczenie olbrzymią większość postępowców, wyszła inicyatywa założenia nowego stowarzyszenia postępowego, któreby pozwoliło, pragnącym rozszerzenia horyzontów myślowych, pracować bez narażania się na skandale, jakie zapanowały w „Ruchu". Nowe stowarzyszenie — „Spójnia" wkrótce już rozpocznie swą działalność.

Jednocześnie ze „Spójnią" powstało „Życie", mające skupić drobną garść towiańczyków i mistyków, gromadzących się przeważnie przy „Odrodzeniu" — pisemku wychodzącem we Lwowie. Zresztą wyżej wymienione grupy nie wyczerpują spisu istniejących w Krakowie odłamów młodzieży. Jak zapewnia korespondent „Promienia" — pisma specyalnie poświęconego sprawom młodzieży — oprócz nich istnie-

*) Z redakcyi „Słowa Polskiego" wystąpił nareszcie i p. Jan Kasprowicz.

---

lewska chorągiew, powiedziała mu, znikając. Król wezwał ministrów i wyjawił im, że wie o ich zamiarach, a gdy się zlękli, rzekł im, że daje swe przyzwolenie, byle pochowali ciało tam, gdzie wskaże jego monarsza żółto-czerwona chorągiew.

Nazajutrz otwarto mogiłę, wydobyto trumnę i ruszono w uroczystym pochodzie, na którego czele wystąpił rycerz z monarszą żółto-czerwoną chorągwią. Chorągiew natychmiast rozwinęła się i pociągnęła za sobą chorążego. Wiodła go, za 99 gór i dołów; wreszcie zatrzymała się i gdy rycerz chciał ją dalej ponieść, kroku nie mógł uczynić.

W tem miejscu kazał cesarz swą zabitą żonę pochować. Zwie się to miejsce Kiagnun. Przedtem były tam tylko suche skały, ale wkrótce ludzie mówić zaczęli, że ze wszystkich 99 dolin płynąć zaczęły strumyki, że wszędzie bić zaczęły źródła... Chodzili, oglądali, dziwili się. Mieszkał wówczas niedaleko Seulu ubogi jan-ban, który miał dwóch synów jednego—ślepego, drugiego — suchorękiego. Ponieważ pochodzili z rodu jan-baniów, więc choć byli kalekami, musieli służyć... Mały coprawda, zajmowali urząd i niebardzo na nich zważano. Sami jednak zwrócili się do rodziców:

— Wszyscy już złożyli hołd małżonce króla w jej nowej mogile, myśmy tylko tam jeszcze nie byli!.. Choć mały zajmujemy urząd, wypada i nam to zrobić! Puście nas!

Rodzice po naradzie zgodzili się, gdyż nie mogli im odmówić. Najęli dwa palankiny i wysłali synów. Wędrując przez rzeczki i strumienie, zapragnęli ochłodzić się od spiekoty i wypitej „suli" (wódki), zdjęli odzienie i zanurzyli w wodzie. Niedługo spostrzegł ślepy z przerażeniem, że widzi, a suchoręki, że włada rękami... Wieść o tym cudzie niezwłocznie rozbiegła się po całej Korei i zaczęły się schodzić do grobu cesarzowej tłumy chorych, szukając uzdrowienia. Długo nikt nie wiedział, skąd to pochodzi, aż znalazł się taki urzędnik, który wytłomaczył, że to pewnie cesarzowa—nieboszczka obchodzi w ten sposób swoją żałobę, której jej, jako zgładzonej, odmówiono. Tłumy obdartych, brudnych, nieczesanych przychodziły na jej grób z płaczem i błaganiem... Sto lat trwała uzdrawiająca moc źródeł, poczem zaczęła słabnąć i obecnie już znikła...

Minęła pierwsza żałoba i druga!... „dokończył pouczająco Szin-mun-giun.

Wielka pozornie część za życia i po śmierci a w gruncie rzeczy — niewola, ogromna możność czynienia złego i niesłychanie mała dobrego — oto los cesarzów korejskich.

Co dzień sam albo z tłomaczem zwiedzałem jakiś zakątek Seulu. Czasami brałem „rikszę"... których tłum stał wiecznie przed hotelem, innym razem siadałem do tramwaju elektrycznego, który biegnie od bramy Wschodniej do Zachodniej, przecinając podłużne w planie miasto wzdłuż jego największej osi. Wolałem jednakże robić wycieczki pieszo, co pozwalało zatrzymywać się przed ciekawszymi sklepami oraz zaglądać do krętych, ciasnych uliczek starych dzielnic seulskich. Na ulicach ruch bardzo ożywiony, szczególniej zrana; snują się ciżby biało odzianych Korejczyków w czarnych cylindrach włosiennych lub bambusowych kapeluszach — grzybach; jadą ciężkie wozy zaprzężone w woły; idą z dalszych okolic karawany objuczonych koni a z bliższych wielkie byki korejskie, uginające się pod stosami naładowanego na nie drzewa, chrustu lub siana. Ale ruch, gwar, wołanie, brzęk żelaza, kucie młotów

ją tu jeszcze, zwolennicy odrębnej żydowskiej partyi, syoniści, ugodowcy, elsy, nastrojowcy, dekadenci, czciciele absolutu piękna, fetyszyści czystej nauki, etycy itd. itd.

Specyalnie sprawom młodzieży służą dwa pisma —„Promień" i „Teka". Ta ostatnia jest wyrazem dążeń młodzieży narodowo-demokratycznej. Wkrótce ma powstać nowe pismo—wyłącznie w celu zwalczania „Promienia". Podobno będzie się nazywało „Płomień", gdyż jest przeznaczone, jak twierdzą zwolennicy „Promienia", dla tak młodocianych czytelników, którzy jeszcze nie potrafią wymówić dźwięku „r".

Ciekawa wystawa została otwarta parę dni temu w Krakowie. Mówię o wystawie drukarskiej, urządzonej wspólnie przez Muzeum Narodowe i Towarzystwo Polskiej sztuki stosowanej. Rozpada się ona na dwa działy — retrospekcyjny i współczesny, możemy więc z jednej strony zobaczyć rozwój sztuki drukarskiej w Polsce od końca wieku XV-go do dnia dzisiejszego, z drugiej zapoznać się z nowoczesnemi usiłowaniami nadania książce cech dzieła artystycznego. Oprócz książek znajdujemy tu wszystko, co wkracza w dziedzinę zdobnictwa książkowego i sztuki reprodukcyjnej. Wystawa jest bardzo bogata i właśnie w Krakowie, przodującym pod względem drukarstwa całemu krajowi, najbardziej znajduje się na miejscu.

Daleki.

Pruska szkoła ludowa.

Dnia 28 Grudnia rozpoczęły się w Berlinie obrady pruskiej konferencyi niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej. W chwili, gdy piszę te słowa, nie mam jeszcze pod ręką całego sprawozdania z kilkudniowych obrad. Ale już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że najważniejszą ich częścią było omówienie stosunków pruskiej szkoły ludowej i niebezpieczeństwa, grożącego jej ze strony klerykalizmu.

Referentem był dr. Arons, dawniejszy docent uniwersytetu berlińskiego, wykluczony z powodu swych przekonań politycznych. Rezolucya, stawiana przez niego i przez konferencyę jednogłośnie przyjęta, brzmi, jak następuje:

„Szkoła ludowa została przekształcona w zakład, którego głównem zadaniem jest popieranie istniejących autorytetów.

Dla pewniejszego osiągnięcia powyższego celu poddano szkołę wpływom i panowaniu kościoła, ustanowiono duchownego opiekunem nauczyciela, utworzono zamiast jednolitej szkoły dla wszystkich dzieci narodu system szkolny, oparty na podziale klas społecznych, w następstwie czego nauka dla uczniów właściwych szkół ludowych schodzi do minimum.

Pomimo że pruską szkołę ludową prześcignęło już dawno szkolnictwo wielu innych państw; pomimo że wyższy stopień wiedzy najmarniejszego nawet robotnika wpływa w wysokim stopniu na rozwój systemu gospodarczego—znaczna część „burżuazyi liberalnej weszła z zdeklarowanymi wrogami wykształcenia ludowego w tak zw. „kompromis szkolny".

Kompromis ten jest zdradą, popełnioną na dotychczasowych zdobyczach kulturalnych, jest aktem niebywałego tchórzostwa burżuazyi, zwącej się liberalną, która tem samem robi ze szkoły posługaczkę kościoła.

Kongres demokracyi socyalnej Prus uznaje w możliwie wysokiem wykształceniu szkolnem ogółu potężny czynnik kulturalny, silnie popierający duchowe i materyalne interesy ludu.

Wskutek tego kongres żąda, jako minimum, w celu podniesienia szkolnictwa ludowego Prus:

1. Odzielenia szkoły od kościoła, t. j. zupełnego usunięcia wpływu duchowieństwa na szkołę.

2) Jednolitej szkoły dla wszystkich dzieci; bezpłatności szkoły i materyałów szkolnych; graniczenia ilości dzieci w każdej szkole, by umożliwić nauczycielowi nauczanie; lepszego wykształcenia i wynagradzania nauczycieli.

3. Budynków szkolnych i środków nauki, odpowiadających wymaganiom hygieny i pedagogiki postępowej.

4. Odżywiania i ubierania wszystkich biednych dzieci szkolnych.

Dodatkowo przyjęto „wspólną naukę chłopców i dziewcząt do klas najwyższych", wreszcie wniosek p. Lili Braun: „Zniesienia nadużyć, popełnianych na szkole, używanej, jako narzędzie, do podburzania politycznego.

Z bardzo długiej i starannie opracowanej mowy p. Aronsa należy podnieść kilka ustępów, charakteryzujących dosadnie stosunki w pruskiej szkole ludowej.

O dwie rzeczy chodzi przy wykształceniu ludowem. Z jednej strony mamy feodalizm, który utrzymuje, że czem głupszy robotnik, tem lepiej, z drugiej — przedstawicieli kierunku, którzy doszli do przekonania, że pewien stopień wykształcenia ich robotników ma ogromne znaczenie. Pruska biurokracya uznała słowa Humboldta o ekonomicznej potędze narodu z wyższem wykształceniem mas. Zaprowadzono więc dość rychło ogólny przymus szkolny i bezpłatność szkoły. Ale na tem też kończy się to, co można było dobrego o szkole pruskiej powiedzieć. Do dziś dnia niema pruskiego prawa szkolnego — lecz chaotyczne rozporządzenia ministeryalne i administracyjne. Nie mamy dobrego ministra do spraw szkolnych, ale wspólnego dla spraw duchownych i medycznych. Organizacya szkolna jest podwójna: inna dla szkół, do których chodzą dzieci sfer zamożnych — inna dla ludowych, dla dzieci proletaryatu. Okręgowa inspekcya szkolna jest prawie wyłącznie w rękach księży ewangielickich i katolickich. Miejscowa także prawie bez wyjątku reprezentowana przez duchownych. Kościół ma więc rękę nad szkołą.

Jak wyglądają szkoły ludowe? Odpowiedź znajdujemy w rozporządzeniu ministra Falka z r. 1872. Jako minimum postawiono tam jedno-klasową szkołę ludową, w której wszystkie dzieci uczą się jednocześnie w jednym pokoju, na niższej stopie 20, na średniej i wyższej 30 godzin tygodniowo. Ale nawet to minimum nie jest przeprowadzone. W razie, gdy ilość dzieci przechodzi 80, lub gdy izba szkolna jest za mała, a stosunki nie pozwalają na przyjęcie drugiego nauczyciela, wolno urządzić „pół dnia" szkoły, po 16 godzin tygodniowo dla dwóch oddziałów dzieci. Dalej istnieją „szkoły letnie", w których młodsze dzieci uczą się po 18, starsze zaś tylko po 12 godzin na tydzień. Po za tym czasem dzieci mają służyć szlachcie do robót *na roli*. W pewnem rozporządzeniu rządowem czytamy, że pozwolono latem na *pół dnia* szkoły ze względu na ekonomiczne potrzeby ludności rolniczej. Ale i na tem nie koniec! Mamy szkoły, w których dzień podzielony jest na 3 oddziały! W pewnem rozporządzeniu regencya pisze, że wolno

---

pracujących w otwartych warsztatach rzemieślniczych, ogólne tętno miejskiego ruchu znacznie jest mniejsze, niż w miastach chińskich, a wygląd ludności dużo uboższy, brzydszy i bardziej prostaczy, niż w japońskich. Jednostajnie biała barwa ubrań oraz brak bogatych wystaw sklepowych pozbawiają ulice korejskie wszelkiego kolorytu. Brudne zakopcone ściany domów bez okien nazewnątrz, pokłady śmieci leżące na ulicach, brak chodników, kałuże i potoki pomyj, płynących nieraz środkiem, wstrętny odór gnijących odpadków włoszczyzny, ludzkich nieczystości, trupów kocich, psich, ptasich... wyrzucanych z mieszkań za próg, czynią przechadzkę po podrzędniejszych ulicach Seulu wprost niemożliwą. Dodać należy nieznośny, białawy kurz, którego gęsty obłok otula miasto od najwcześniejszego ranka do wieczora. O polewaniu ulic nie mają tu pojęcia, a ulice są niebrukowane. Zresztą niema wody. Łożysko rzeki, przepływającej przez miasto, wypełnia się jedynie w czasie deszczów, po za tem jest to płytki, brudny i cuchnący potok, dość opieszale szemrzący wśród ośmieconych głazów. Pod wyłożonym kamieniami bulwarem szeregiem siedzą u wody praczki, tłukące zawzięcie bieliznę krótkimi wałkami. Można się tam dowoli napatrzyć wdzięków kobiecych, gdyż damy korejskie zakrywają przed mężczyznami jedynie.. twarze. Tajemnicą pozostało dla mnie w jaki sposób te osoby, tak często piorące śnieżne szaty swych mężów i własne, umieją zachować w stanie nienaruszonym brud swego ciała.

Najpiękniejszą i najruchliwszą jest ulica Dzon-no, po której biegnie tramwaj. Tutaj są najlepsze sklepy i bazary, naśladujące niezbyt udatnie bogate składy chińskie. Z trudnością odszukałem księgarnię, których tak wiele spotyka się w Chinach i Japonii. Sklepów z przedmiotami sztuki wcale nie znalazłem. Wprawdzie w bazarze, gdzie sprzedawano dywany, dość ładne maty, żelazne szkatułeczki korejskie, i liche hafty jedwabne, pokazywano mi również ordynarne malowidła, podobne do japońskich „kakemono", ale żadną miarą nie mogłem uznać ich za rzeczy sztuki. Zasmucony przewodnik, który wschodnim obyczajem miał sobie zapewniony 10% od kupionego przeze mnie przedmiotu, zaprowadził mię wreszcie do sklepów stolarskich, gdzie stały całe szeregi słynnych skrzyń korejskich i szaf rozmaicie malowanych, upiększonych ozdobami z blachy mosiężnej i cynowej lub pobielanej...

Doprawdy myślę, że trzeba było specyalnie pracować w ciągu całych wieków, aby tak zupełnie pozbawić smaku rzemieślników korejskich. A przecież to ongi pierwsi nauczyciele wykwintnych Japończyków! Jedynie sklepy „żałobne" wywarły na mnie wrażenia. Były to długie rzędy otwartych bud pełnych sznurów konopnych, zgrzebnej odzieży, jakichś pęczków i wiechci słomianych, siatek białych do altanek żałobnych, no i przedewszystkiem... olbrzymich, jak parasole, kapeluszy dla ukrycia rozżalonych twarzy...

O tak bezwarunkowo,lud ten miał sposobność pokochać żałobę i nauczyć się smutku!..

Obejrzałem słynny wielki dzwon In-czion, którego głos był sygnałem krwawych zaburzeń 1884 roku, a który przedtem w dzień o zachodzie słońca wzywał mężczyzn stolicy, aby pozostali w domach i oddali ulice miasta aż do północy na wyłączny użytek kobiet, w innych godzinach więzionych po domach obyczajem korejskim. Wolno było wtedy przechodzić przez tłumy niewiast tylko gońcom rządowym i uzędnikom ze specyalnymi pasportami (phä), inni mężczyzni byli chwytani, jak złoczyńcy. Co za pole do romantycznych przygód w stylu „Tysiąca i jednej nocy".

(C. d. n.)

brać „tylko" chłopców jedenasto i dwunastoletnich na pastuszków, że muszą chodzić przytem *raz na tydzień* (!!) do szkoły „w wyjątkowych okolicznościach" wolno brać i młodsze dzieci, ale muszą dwa razy (!!) na tydzień bywać w szkole".

Przy większej ilości dzieci rozporządzenia nakazują ustanowić drugiego nauczyciela. Statystyka z r. 1901 wykazuje takie stosunki: 70% wszystkich szkół ludowych było jedno i dwuklasowych. Uczyło się w nich 1861272 dzieci z ogółu, wynoszącego 5670870 dzieci, to znaczy przeszło 50% siedziało w klasach przepełnionych. W pewnej wsi polskiej jeden (!) nauczyciel ma 200 dzieci w szkole—nauczyciel ten jest od lat 54 na urzędzie. W innej wsi polskiej nauczyciel po 43 latach służbowych ma przeszło 200 dzieci w szkole. Przytaczam te cyfry by napiętnować obłudę, uprawianą przez rząd pruski w polityce germanizacyjnej. Gdyby przynajmniej z tych setek milionów, wydanych na ową politykę, choć część przypadła na polepszenie stosunków szkolnych! Jeżeli jednak pieniądze, jak widzimy, idą na utrzymanie zbankrutowanych żywiołów szlacheckich, to trzeba przyznać, że większej obłudy już niema! (Słowa te kongres przyjął burzliwymi oklaskami).

Czego uczą w szkole ludowej? Z planu jednoklasowej szkoły wynika, że z 20 godzin tygodniowo przeznaczono 4 godziny na religię; na wyższym stopniu 5 godzin, czyli 17% czasu szkolnego. W szkołach „średnich" (płatnych w przeciwieństwie do bezpłatnych szkół ludowych) nauka religii zajmuje w niższych klasach 12.5% czasu, w wyższych tylko 6.2%. Za opłatę szkolną darowują więc kilka godzin!

Płaca naszych nauczycieli jest nizka, wiec brak ich ciągle.

W r. 1892 minister Zedlitz-Frutzschler wypracował prawo szkolne, uznające w zupełności wpływ kościoła na szkołę. W szerokich sferach powstała burza i prawo zostało cofnięte. Z dłuższych narad lat ostatnich wyszedł „kompromis" szkolny, zawarty przez konserwatystów, wolno-konserwatystów i liberałów narodowych. Centrowców oficyalnie nie wciągnięto, by zamydlić oczy opinii publicznej. Kompromis, zawarty przez większość sejmu pruskiego, zawiera następujące wnioski:

2a) w zasadzie uczniowie jednej szkoły mają należeć do jednego wyznania i powinni być uczeni przez nauczycieli tegoż wyznania;

b) wyjątki są możliwe tylko w szczególnych razach, ze względów specyalnie narodowych...

b) o ile liczba dzieci szkolnych mniejszości wyznaniowej doszła do pewnej wysokości, mniejszość ta ma prawo żądać utworzenia osobnej szkoły własnego wyznania.

d) do zarządu sprawami szkolnemi należy utworzyć w miastach, oprócz regularnych władz miejskich, osobne deputacye, na wsi należy w nich przyznać odpowiedni udział kościołowi, gminie i nauczycielom.

Ten kompromis zawiera to, czego konserwatyści i klerykali zawsze się domagali. Rozwiązanie kwestyi jest logiczne. Albo oddaje się szkołę kościołowi — albo usuwa się kościół ze szkoły. Zwolennicy kompromisu wybrali pierwszą drogę — jasną ona jest dla przeciwników. Muszą oni żądać zupełnego usunięcia wpływu kościoła i nauki religii ze szkoły! Tego nie żąda natomiast nawet najradykalniejsza część liberałów. Proboszcz Naumann domaga się by usunięto przymusowe uczęszczanie dzieci na naukę religii. W liberalnych programach partyjnych niema nic o usunięciu nauki religii ze szkoły.

Oto parę ustępów, z referatu dr. Aronsa. Z dyskusyi możemy wziąć kilka tylko nader ciekawych szczegółów, dodając że, prowadzona z wielką znajomością rzeczy i szczerem przejęciem się sprawą, wywołała w całych Niemczech potężne wprost wrażenie.

Pan J. Bruhns, delegat niemieckiego towarzystwa robotniczego z Katowic, uzasadnił następującą rezolucyę:

„Kongres protestuje energicznie przeciw używaniu przez rząd pruski szkoły w obco- i mieszano językowych okolicach do t. zw. „germanizacyi", jako środka, sprzeciwiającego się z jednej strony zasadom wykształcenia ludowego, z drugiej wszelkiej prawdziwej kulturze i wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości".

Rezolucyę tę przyjęto jednogłośnie. W uzasadnieniu wniosku p. Bruhns powiedział: W regencyi opolskiej jest przeciętnie 79 dzieci szkolnych na jednego nauczyciela. Z 1453 szkół ludowych na G. Szlązku jest 218, w których ilość dzieci, kształcona przez jednego nauczyciela, wynosi przeszło 100 do 200. Patronami takich szkół są feodalni magnaci śląscy. Najgorszem złem tej szkoły jest jednak germanizacya. Nauczycielowi nie wolno — prócz nauki religii na najniższych stopniach, mówić do dzieci po polsku nawet w okolicach czysto polskich. Jeżeli do zarządzeń tych się nie stosuje — to nie dostaje „Ostmarkenzulage" (dodatkowe na kresach wschodnich wynagrodzenie). Nie potrzeba chyba wyjaśniać, jak taka metoda wpływa na kształcenie dzieci. Z powodu niedostatecznej nauki i waryackiej polityki hakatystycznej młodzieży pozostaje bez wykształcenia. Proszę o przyjęcie mego wniosku, by w ten sposób zaprotestować przeciwko dążeniom germanizacyjnym.

Delegat Adler z Kilonii opowiadał to samo o germanizacyi dzieci duńskich. Delegat Paech był sam w szkole dla pastuchów („Hüteschüle"). Rano od 6 do 8½ były dzieci w szkole, potem wyzyskiwano je do nocy. Dostawałem przy kopaniu kartofli 40 fen. na dzień i dwa kieliszki wódki!

J. K.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

—•—

Granice tresury.

Chwila, w której na widownię publiczną wystąpiło pierwsze tresowane zwierzę, była epokową w rozwoju cywilizacyi. Pies, grający na mandolinie lub koń, tańczący na dwu nogach—to niewzruszone dowody, że za pomocą odpowiedniego wychowania można każdą istotę wykształcić nietylko do najdalszych granic jej zdolności, ale nawet po za temi granicami. Z odkrycia tego skorzystała niewątpliwie pedagogika, która zaczęła marzyć o wyrabianiu geniuszów z idyotów, a bohaterów z nieponiów, głównie wszakże zużytkowała je polityka. Jak wiadomo, jest to przedziwna umiejętność wytwarzania sztucznej naturalności i nieprawdopodobnej prawdy. Ktoby np. teoretycznie uwierzył, że Bóg, czyli—duch sprawiedliwy i dobry — może się zajmować tępieniem Polaków w Prusach; a jednakże cesarz Wilhelm wezwał Boga na pomoc do tej operacyi. Ktoby przypuszczał, że milion ludzi bezbronnych może być groźną potęgą dla 40 milionów uzbrojonych; a jednakże dowiódł tego kanclerz niemiecki, usprawiedliwiając nową ustawę przeciw Polakom. Ktoby nie uznał tego za niedorzeczny żart, gdyby mu powiedziano, że są na świecie amatorzy niewoli, którzy na klęczkach błagają o nałożenie im jarzma; a jednak tak utrzymywał namiestnik zaboru niemieckiego w Afryce. Nie chcę krzywdzić nawet Bismarkidów. Jakkolwiek rodacy Hegla, wynalazcy metody dyalektycznej, która pozwala „każde pojęcie odwrócić na przeciwne", są mistrzami w dyalektyce politycznej, w której każdy wniosek staje się armatnim lub karabinowym nabojem, nie posiadają oni w niej monopolu. Owszem, myśleć, rozumować, działać politycznie, czyli—wbrew wszelkim zasadom zwyczajnej logiki, jest szeroko rozpowszechnionym systemem dyplomatów, a nawet często spotykaną ambicyą ludzi prywatnych, niemających możności popełniania wielkich gwałtów, a zatem i potrzeby wykrętnego usprawiedliwiania ich. Ale to wszystko należy w tej chwili tylko do nawiasu. Głównie zajmuje nas tu związek między polityką a cyrkiem. Jak ostatni wyprowadza na arenę akrobatów i tresowane zwierzęta, tak pierwsza—zręcznych i tresowanych ludzi. Niedawno zmarł w Prusach pewien arystokrata, pochodzący ze starej rodziny polskiej, który nie odłamując się od swego ojczystego pnia, jednocześnie wszczepił się w inny, zupełnie obcy i wessał jego soki. Czy wielka zachodzi różnica pomiędzy takim magnatem polskim czującym popręgu a lwem, skaczącym przez obręcz? Oba pod wpływem tresury zmienili do gruntu swoją naturę i wyłamali się z normalnej kolei swojego rozwoju. Pomimo twierdzeń w teoryi, że od jakiejś tam daty zapanowała nad światem idea swoistości, w praktyce panuje dotąd idea tresury, przerabiania i wykształcania ludzi według pewnych modelów, różnych od ich właściwej istoty. Polityka najbardziej sławiona, bo zwycięzka, najbardziej naśladowana, bo mocna, zamienia państwo na fabrykę jednogatunkowości i stara się wytępić rozmaitość. Nie jest ono morzem wody, w której wszystko zachowuje swoją przyrodzoność, ale jest to morze ognia, w którym wszystko przetapia się na jedną masę. Politycy którzy zachwycają się odmiennym psem, meblem lub kryształem, którzy ze czcią przechowują unikat książki lub marki pocztowej, którzy podziwiają oryginalny krój lub ozdobę stroju ludowego, z niezmordowaną zaciętością tępią jakiś odrębny szczep ludzki, język lub sposób myślenia. Zwykle zaś utrzymują oni, że czynią to dla dobra ogółu. Zarathustra dziwi się tylko ich nierozsądkowi. „Jeżeli na pewnej przestrzeni—tłomaczy on—znajdzie się 90 ludzi jednakich a 10 odmiennych i jeżeli dobroczyńca 90 zabije 10, to wyświadczy swej gromadzie usługę, bo z niej usunie pewną część walczących o byt. Ale jeżeli owych 10 tylko przekształci na wzór 90, to usługa będzie bardzo drobną, a nawet bardzo wątpliwą. Wróble mogłyby coś zyskać na wytępieniu jaskółek, ale nie miałyby żadnej korzyści z ich uwróblenia. Wogóle ludzie przeceniają wartość życia śród jednorodności." Politycy wszakże nie są uczniami Zarathustry i uparcie powtarzają, że zasady przymusowego wykształcenia nie powinny ograniczać się do szkoły elementarnej, lecz objąć cały obszar życia; że człowiek od pierwszego do ostatniego oddechu powinien ulegać celowej gimnastyce i tresurze; że prawo obowiązujące jest również systematem pedagogicznym; że społeczeństwa są to talie kart z ograniczoną i ustaloną rozmaitością figur i że gdyby ta rozmai-

tość była nieograniczona i nieustalona, oni nie mogliby niemi grać.

Słusznie. Ale na nieszczęście (dla innych— na szczęście) tresura zwierząt, dostarczająca wzorów wychowania ludzi, dotarła do pewnego kresu, którego przekroczyć nie może. Mniejsza o to, że nawet ich dostojnego króla, lwa, nikt dotąd nie zdołał nauczyć zwykłego dodawania i składania liter: ale — co gorsza — nikt go dotąd nie nauczył jeść trawy. Nie jest to zaś drobiazg. Jakkolwiek skakanie przez obręcz lub ciągnięcie wózka, na którym siedzi rodzina dogów, nie zgadza się z naturą i obyczajami lwa, jednakże on, żyjąc na swobodzie, także nieraz skacze i ciągnie, czyli w jego życiu dzikiem można odnaleźć pewne powinowactwa z menażeryjnem. Natomiast gdyby zechciał zjeść bodaj garsteczkę trawy na dzień — co mówię! — na rok, złożyłby dowód, że się zupełnie zmienił, że przestał być lwem lwiego rodzaju. Otóż tego za żadną cenę pieszczot i kar uczynić nie chce. Ten opór i tysiące podobnych śród zwierząt nasuwają — może mylny, ale mający znamiona prawdopodobieństwa — wniosek, że również śród ludzi, chociaż wogóle łatwo ulegających rozległej tresurze, istnieje dla niej granica, po za którą żadna pedagogia, ani szkolna, ani polityczna, przejść nie może. Ta ostatnia — jak wiadomo — przyjęła za podstawę swych działań udoskonaloną teoryę Lock'a, według której dusza ludzka nie jest czystą tablicą przy jego urodzeniu, lecz co rano: dzień zapisuje ją obowiązującemi w jego zakresie prawdami, które noc ściera i nazajutrz znowu tablica jest czysta. Wszyscy znamy ludzi, którzy w niedzielę wierzą, że ziemia ma 6,000, a w poniedziałek, że miliony lat, którzy, we wtorek są przekonani, że Bułgar jest na niej tworem najwstrętniejszym, a we środę, że najmilszym, którzy we czwartek nosorożca pokaźnie całują w róg, a w piątek chcą mu go odrąbać. Pomimo jednak, że lokizm polityczny podniósł niezmiernie plastyczną zdolność wielu dusz ludzkich do przyjmowania najrozmaitszych kształtów, stanowią one zaledwie drobną cząstkę ogółu i ich masa zachowuje ciągle niepodatną twardość. Ma ona również swój punkt, odpowiadający oporowi lwa w jedzeniu trawy.

Gdyby nawet wysnuć pożytek i potrzebę tresury człowieka, to i wtedy należałoby odnaleźć w nim ów najdalszy punkt jej dosięgliwości. Bo po co daremnie marnować trudy wychowawców i męki wychowywanych? Praca bezcelowa i bezskuteczna jest zawsze bezmyślną. Lepiej więc jej zaniechać, niż nasycać jej widokiem żądzę wytwarzania kalectw i wynaturzeń, zwłaszcza że one nie zależą od zgody lub niezgody operowanych. Wola nasza jest to niewolnica w stroju władczyni. Przemówcie wszakże do niej najczulszym i najmędrzym językiem, ażeby zechciała dla siebie gwałtu i przymusu,—nie usłucha. Bo jest to niewolnica protestująca. Przypuśćmy, że powiecie do kogoś:

„Najlepszy i najmędrszy człowiecze! Twój brat jest nicponiem, szkodnikiem, pasorzytem i zbrodniarzem. Zważywszy to wszystko, zabij go i zjedz. Postąpisz uczciwie i mądrze: oswobodzisz siebie i innych od dotkliwej plagi, ustrzeżesz go od więzienia i przez jakiś czas będziesz miał na stole smaczne mięso."

Przypuśćmy, że ktoś przyzna słuszność całemu temu rozumowaniu, czy pomimo to zabije i zje swego brata? Nie. Dlaczego? Bo ten czyn leży po za granicą uległości jego woli na ucisk zewnętrzny.

Gdyby w przeznaczeniach ludzkości leżała niezłomna konieczność, ażeby wszyscy stali się innymi, niż są, wysłalibyśmy do tej konieczności w przestrzeń wszechświata następujące usprawiedliwienie:

„Czci i strachu godna potęgo! Daremnie nas nękasz i grozisz pomstą; my nie możemy, uważasz, nie możemy przestać być sobą. Jeżeli zaś to jest potrzebnem dla twoich celów, przetwórz nas, zamień na bryły gliny, z których artysta ulepi arcydzieło i w których bydlę odciśnie swoje kopyta. Nie chcesz? To my nie możemy, uważasz, nie możemy."

Słyszę zarzut.

— Czy to wiedza i sztuka ludzka doszły do swych kresów? Czy można zaręczyć, że lew nie będzie nigdy jadł trawy a człowiek — brata!

Zapewnie. Ale dziś i za tysiąc lat nie zjedzą. Tyle dla nas wystarczy. Czas późniejszy puśćmy w dzierżawę fantazyi przedsiębiorców cyrku.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Legenda kłamliwa.

Z powodu książki „Szkice historyczne XI-go wieku" Tadeusza Wojciechowskiego. Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków, 1904.

Gdy się zważy, że poglądy historyczne pozostają w nieustającej fazie sprostowania się, i niezgodności, można zwątpić o wykonalności opisów historycznych, będących odtworzeniem rzeczywistości minionej. Ta niezgodność, ta bezustanna niemożność ustalenia się poglądów historycznych na wypadki i ludzi dotyczy nietylko czasów zamierzchłych, lecz i niezbyt oddalonych wydarzeń i postaci, co do których istnieje powódź źródeł, notatek, opisów, rysunków, nawet naocznych świadków lub uczestników. Cóż z tego, kiedy doświadczenia, czynione przez fachowych profesorów prawa i obmyślone planowo, wykazały, że inteligentni świadkowie naoczni (słuchacze), niezwiązani i nieskrępowani żadnym interesem, nie są zdolni zrobić zeznania zgodnego z rzeczywistością. Praktyka sądowa nie pozwala ufać bezwzględnie naocznym świadkom, zeznającym pod przysięgą. Nie krytyka czystego rozumu, lecz zastanowienie się nad biologicznem znaczeniem czynności mózgu poucza, że jest to narząd nie do wykrywania prawdy lub rzeczywistości bezwzględnej, lecz opatrzony instynktem samozachowawczym, jak każdy inny, a przeznaczony do bio-utylitarnego pojmowania zjawisk i wypadków zewnętrznych. Większa część wysiłków myślowych sprawia raczej wrażenie rojeń fantastycznych na tle podniety, idącej od rzeczywistości zewnętrznej, niż zabiegów w celu jej wykrycia. Taka była dawniej i taką jest dziś natura ludzka, że człowiek w życiu powoduje się przeważnie „urojeniem", „myślą", będącą halucynacyą bio-utylitarną. W takich warunkach każde źródło historyczne to nie pomoc, lecz raczej przeszkoda do wykrycia prawdy historycznej, jeżeli nie martwy przedmiot wymowny, choć niemy, a nie umiejący kłamać. Wobec tego wszystkiego pisanie historyi jest zuchwalstwem naukowem i nic dziwnego, iż w ogólnej produkcyi historyograficznej mamy tak znaczny odsetek uczonego plotkarstwa dziejowego. Dzieje polityczne narodów, jeśli je mierzyć nie zoologiczną, lecz chrześciańską moralnością, są to dzieje zbrodni politycznych w tym lub innym sensie, historyk zatem mieć powinien przenikliwość sędziego śledczego, gdy robi swoje dochodzenia historyczne. Pan Wojciechowski, uzbrojony tą przenikliwością i erudycyą historyczną, mógł odważyć się być historykiem i umie nim być.

Książka, o której mowa, posłużyć może za wzór tego, co w technice dziejopisarstwa zwie się pragmatyzmem. Myśl badawcza p. Wojciechowskiego z jakąś, powiedziałbym, kocią zwinnością uwija się w tej pracy pośród skąpych i kłamliwych informacyj kronikarskich i archiwalnych, ażeby z nich wydobyć wątek prawdy historycznej. W tych rzeczach jest p. W. wirtuozem. Dzięki temu nietylko historyk fachowy będzie mu wdzięcznym za jego pracę, lecz i zwykły czytelnik dozna intellektualnego zadowolenia przy czytaniu jego pracy.

Dzieje XI wieku zajmują każdego myślącego człowieka, jest to bowiem epoka t. zw. „Hildebrandyzmu", olbrzymiego pojedynku pomiędzy papiestwem a cesarstwem o panowanie nad narodami Europy. Pojedynek ten trwał blizko dwa stulecia i był osią, około której układały się i wirowały interesy dynastyj, dostojników, narodów, marzycieli, spekulantów, fanatyków, mistyków. Został on wszczęty przez papieża, pochodzenia gminnego, imieniem Hildebrand-Grzegorz VII, z cesarzem niemieckim Henrykiem IV. Oportunizm polityczny, lepiej lub gorzej zrozumiany, rzucał do obozu papieskiego lub cesarskiego kraje, narody, dynastye książęce lub królewskie, dostojników kościelnych lub świeckich. W Polsce panował wówczas Bolesław II Śmiały, który widział swój interes w poddaniu się papiestwu i zwalczaniu cesarstwa niemieckiego. Z tego powodu hojnie uposażał zakony, tworzył nowe biskupstwa, robił starania o wznowienie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i o pozyskanie korony z rąk papiestwa. Wobec faktu, że Wratysław czeski był ślepym sprzymierzeńcem cesarza Henryka IV, musiał wrogo przeciw niemu występować. Wszystkie te zabiegi udawały się przez pewien czas Bolesławowi Śmiałemu, dzięki wewnętrznym rozterkom w cesarstwie. W tych usiłowaniach, zgodnych w danej chwili z interesem narodu polskiego i dynastyi Piastowej, natknął się Bolesław na spiskową działalność biskupa, św. Stanisława i Władysława Hermana, poza którymi stały intrygi polityczne Wratysława czeskiego i cesarza Henryka IV, zmierzające do unicestwienia planów Bolesława. Zgodnie z duchem owych czasów, rozkazał Bolesław ukarać śmiercią zdradę św. Stanisława. Spisek jednak na niezależność i całość kraju polskiego, kierowany ręką biskupa i Władysława Hermana, już na tyle był w czyn wprowadzony, że spóźniona kara nie uratowała sprawy. Jak wiadomo, Bolesław Śmiały musiał uchodzić z kraju, ukrywać się na Węgrzech u swego sprzymierzeńca politycznego Władysława i tam wkrótce dokonał żywota, pozostawiając syna, dzielnego Mieszka, budzącego podziw w otoczeniu. Dzięki pracy p. Wojciechowskiego, powyższe fakta historyczne nie mogą ulegać żadnej wątpliwości. Jeśli teraz zestawimy tę rzeczywistość z trwającą całe stulecia kłamliwą legendą o męczeństwie Św. Stanisława, z legendą o brzydkiej tendencyi, bo usiłującą zdradzieckie czyny przedstawić jako zasługę, z legedą obłudną powstałą z niskich pobudek, którą, dzięki ciemnocie pospólstwa, dało się przemycić i przekraść do wierzeń dobrodusznych tego pospólstwa, to uprzytomnimy sobie tę prawdę, że człowiek nie tęskni do rzeczywisto-

ści. Z tej racyi prawda historyczna, odsłonięta przez p. Wojciechowskiego, pozostanie ukrytą i zagłuszoną, a my dalej będziemy czcić „patrona-zdrajcę“. — Objaw taki bynajmniej nie jest jedynym na świecie.

Jakkolwiek praca p. Wojciechowskiego nie ma na celu dać czytelnikowi pełnego opisu wydarzeń ówczesnych, a usiłuje jedynie przeprowadzić dochodzenie prawdy, to jednak ubocznie uważny i inteligentny czytelnik ma możność wsłuchać się w impulsy życiowe potęg etnicznych i stanowych owej chwili, budujących swą dalszą lub bliższą przyszłość historyczną. Gdy te tony, zalatujące z przeszłości, zestawi z teraźniejszością, nie trudnem mu będzie wyczuć ten sam puls w łonie tych samych grup. I to daje do myślenia.

Aleksy Kurcyusz.

Antonio Labriola.

—◆—

Gdy umarł Antonio Labriola, obiecywałem czytelnikom *Prawdy* (we wspomnieniu pożegnonem o Tarde'ie), że poświęcę mu osobny artykuł. Choć niestety—z powodów odemnie niezależnych—czas pewien już upłynął od jego śmierci, jednak chcę jeszcze spełnić tę obietnicę. Prace Labriola mają przecie wartość nie przejściową; a byłoby to smutne i dziwne, gdyby ten Włoch nie znalazł u nas należytej oceny. Nietylko dlatego, że był on gorącym przyjacielem naszego narodu, i to nie tak jak niektórzy jego rodacy, na podstawie romansów Sienkiewicza, lub nawet — żal się Boże!—Choińskiego, lecz w sposób poważny, w imię zasad i ideałów nowożytnych, oraz tego, co w naszej historyi tym ideałom odpowiada; ale i dla tego — co nas w tym dziale naukowym najwięcej może obchodzić—że był to umysł żywy i oryginalny, który przeszedł znakomitą szkołę filozoficzną i dopiero przy końcu prawie życia, zostawszy świadomie marxistą, wiele przyczynił się do rozwiązania i naukowego sformułowania teoryi materyalizmu historycznego. Powinien on być przeto nieodpartym wyrzutem dla tych, którzy wciąż jeszcze z dziwnym uporem i zaślepieniem powtarzają, że materyalizm historyczny jest doktryną wyłącznie partyjną i taką też ma tylko wartość w świecie naukowym.

Labriola, który dożył niecałych lat 60, był od r. 1871 profesorem uniwersytetu rzymskiego. Wykładał tam przez szereg lat różne przedmioty filozoficzne, a później przerzucił się do historyczno-ekonomicznych, tak np. specyalnemu badaniu poddał historyę wieśniaków włoskich i pierwszego w Europie buntu chłopskiego w północnych Włoszech na początku XIV w. pod przewodnictwem bohaterskiego brata Dolcino i jego sekty. Niestety, badań tych nie przeniósł na papier drukowany. Labriola sam opowiada o sobie, że o ile namiętnie lubił wykładać, uczyć żywem słowem, o tyle niechętnie zabierał się do pisania—choć każdy, kto go czytał, przyznać musi, że pisał świetnie, jasno i przekonywająco, stylem barwnym, zdolnym zupełnie naturalnie w mnóstwo tryskających z pod pióra wybornych aforyzmów. Ale dla powyższego powodu zostawił tylko szereg niewielkich rozprawek; brał bowiem wtedy za pióro, gdy rzeczywiście już odczuwał gorącą potrzebę publicznego wypowiedzenia się w jakiejś kwestyi. Pisał w obronie dyalektyki heglowskiej przeciw neokantyzmowi Zellera (1862), o „Doktrynie Sokratesa“ (1871), „Swobodzie moralnej“, „Moralności i religii (1873), „Nauczaniu historyi“ (1876), dał studyum psychologiczne „Pojęcie wolności“ (1878), dalej „Zagadnienie filozofii historyi“ (1887), „Uniwersytet i swoboda nauki“ (1897). W r. 1889 i 1890 dwoma rozprawami uzasadnił swe przejście do nowego światopoglądu społecznego, do którego nawrócił się wszechstronnie, co — rzecz zaszczytna dla rządu włoskiego — nie przeszkodziło mu zajmować do końca życia katedry w Rzymie. I już z punktu widzenia tego światopoglądu wydał trzy rozprawy, które głównie są dla nas cenne i zajmujące: „In Memoria del Manifesto“(1895), „Del Materialismo storico Dilucidezione Preliminare“ (1896) i „Discorrendo del Socialismo e Filosofia, Lettere à G. Sorel“ (1899) które wyszły też po francusku w dwóch książkach[1]), w tłomaczeniu A. Bonneta, redaktora nie wychodzącego już, niestety, miesięcznika naukowego *Devenir Social*. Wogóle w ostatnich czasach Bonnet i znany ekonomista B. Croce, przyjaciel Labrioli, zaczęli go usilnie namawiać do pisania. Zdawało się, że ich posłucha. Zapowiedział już opracowanie piśmienne kilku swych kursów historyczno-ekonomicznych oraz książkę o Włoszech współczesnych, które tak mało obcych dobrze rozumie[2]). Ale choroba, a w końcu już śmierć, położyły, niestety, kres tym planom.

Jak wskazuje sam tytuł, szkic Labrioli o materyalizmie historycznym jest tylko „wyjaśnieniem wstępnem“, po którem miał właśnie nastąpić szereg prac szczegółowych. W szkicu tym, którego rękopis, jak mnie zapewniano, wydał jeszcze przed śmiercią stary Fryderyk Engels, autor nasz wywodzi pochodzenie materyalizmu historycznego[3]) i określa znaczenie jego w historyi różnych światopoglądów, stosunek do dawniejszych i współczesnych, a dalej, w sposób, zdaniem mojem, o wiele szczęśliwszy i bardziej pociągający od Mehringa[4]) a nawet Kautskyego[5]), wyjaśnia cały szereg nieporozumień, które powstają co do materyalizmu historycznego dzięki klasowo-mieszczańskim nałogom umysłowym, z niezmierną troskliwością naukową odpiera wszelkiego rodzaju interpretacye przesadne, określa pojęcia, formułuje twierdzenia zasadnicze.

— Naiwni—mówi—może zechcą na podstawie materyalizmu historycznego dać nam nowe objaśnienie „Boskiej Komedyi“ za pomocą rachunków kupieckich chytrych florenckich fabrykantów sukna.

Tylko kretyn może myśleć, że indywidualna moralność każdego proporcyonalna jest do jego indywidualnego położenia ekonomicznego.

Albo, skoro już wpadliśmy na aforyzmy, to jeszcze parę z drugiej książki:

— Teorya Marxa nie jest jakąś wulgatą ani preceptystyką do tłomaczenia historyi we wszystkich czasach i miejscach.

A ton może nieodpowiedni do afiszowania na murach domów, ale odważny i w gruncie rzeczy — prawdziwy:

— Jednem z dziwacznych następstw demokracyi przedwiecznej jest, że niczego nie można usunąć z pod kontroli ludzi niekompetentnych — nawet logiki!

Oczywiście, nie wiem nawet, czy warto zaznaczać, (u nas — warto!), że Labriola nie miał tu ani przez chwilę na myśli demokracyi politycznej, lecz „przedwczesność“ stosował właśnie do dziedziny nauki, niemogącej podlegać uchwałom kongresów...

Oto, jak nasz autor wypowiada treściwie a ogólnie zasadniczą myśl materyalizmu historycznego:

„Gdy dane są warunki rozwoju pracy i właściwych jej narzędzi, to ekonomiczna budowa społeczeństwa, czyli forma wytwarzania bezpośrednich środków do życia, określa, na podstawie sztucznej, *w pierwszym rzędzie i bezpośrednio*, całą resztę praktycznej czynności członków społeczeństwa oraz przemianę tej czynności w procesie, zwanym historyą, czyli: — tworzenie się, zatargi, walki i wybuchy klas:— odpowiednie stosunki, regulujące prawne i moralne; — i przyczyny i sposoby podporządkowania i poddaństwa ludzi wobec ludzi, i odpowiednie wykonywanie rządu i władzy, wogóle, to, co robi i stanowi państwo. *W drugim rzędzie* budowa ekonomiczna określa kierunek oraz w znacznej części, *pośrednio*, przedmioty — wyobraźni i myśli w produkcyi artystycznej, religijnej i naukowej“.

Co do tych ostatnich, to Labriola jest nawet tak ostrożny — albo może nieostrożny... — że posuwanie się dalej nazywa dobrowolnem wkraczaniem na drogę absurdu. Albowiem jeśli fakty z kategoryi prawno-politycznej są rzeczywiście prawdziwą „objektywizacyą stosunków ekonomicznych“, to w sprawie pozostałych nie wolno zapominać, że w wytwórczości artystycznej i religijnej łącznik między warunkami a wytworami jest bardzo złożony, i że ludzie, żyjąc w społeczeństwie, nie przestają przez to żyć także wśród przyrody i otrzymywać od niej podniet i materyałów do ciekawości i wyobraźni. Zapewne „dom nie jest jaskinią, rolnictwo — naturalnem pastwiskiem, a apteka — egzorcyzmem“; zapewne, żyjemy na podścielisku sztucznem, które między nas a naturę wstawiła technika: zapewne, wrażenia, odbierane przez nas od natury i bezpośrednio z nich wypływające uczucia, od czasu jak istnieje historya, zawsze były spostrzegane przez nas pod kątem położenia, danym nam przez społeczeństwo“; ale bądź co bądź działają one samodzielnie, krystalizują się w dziedziczności i, odbijając się w wytworach sztuki i religii, *utrudniają* ich całkowite realistyczne zrozumienie.

Wyjaśniając i rozwijac w taki sposób zasadnicze idee socyologiczne marxizmu, Labriola kładzie główny nacisk na dwa punkty, na które i nam warto zwrócić uwagę: krytykuje mianowicie pojęcia czynników historycznych oraz postępu.

Bardzo często się mówi o przewadze „czynnika ekonomicznego“, o potrzebie „uwzględniania innych czynników“ itp. Otóż to wszystko jest błędnem. Pojęcie czynników historycznych pierwszy rozwinął Herder i dziś wszyscy za nim tę wygodną myśl powtarzają. Jest ona wygodna, i nawet trzeba przyznać, że w swoim czasie była konieczna i pożyteczna, stanowiła postęp w dziejopisarstwie. Pierwotny dziejopis bowiem poprostu opowiada zdarzenie jedno po drugiem, jak mu do głowy przyjdą; ale później zachodzi i daje się odczuć potrzeba jakiegoś uporządkowania

[1]) Essais sur la conception materialiste de l'histoire, z przedmową G. Sorela, 1895, i Lettres à G. Sorel, 1899, (Giard i Brière). Część pierwszego dziełka wyszła podobno i po rosyjsku; niemieckie tłomaczenie obydwóch zapowiedział niedawno Fr. Mehring.

[2]) Labriola tak streszczał swoje pojmowanie: „Ustrój nowożytny w społeczeństwie prawie wyłącznie chłopskiem i gdzie samo rolnictwo po większej części jest zacofane, oto źródło tego powszechnego we Włoszech uczucia niedomagania, niestałości i haotyczności stronnictw, nagłych przejść od demagogii do dyktatury.“ (Essais st. 86).

[3]) Rozdział o tem (VII) należy do najładniejszych i najbardziej pouczających w literaturze marxistowskiej.

[4]) Die Lessing--Legende --Mit einem Anhange über den historischen Materialismus. Stuttgart 1893.

[5]) Was kann und will die materialistische Geschichtsauffassung leisten? *Neue Zeit* 1896, nr. 7—9.

tego chaosu podług pewnych wytycznych ogólnych. Z różnych przyczyn, tkwiących w samem życiu i psychologii ludzkiej, pewne zjawiska — jak np. państwo i prawo— przedstawiają się w formie osób, w formie sił samodzielnych i odrębnych. To uosobienie pewnego całokształtu zjawisk społecznych jest pierwszą abstrakcya historyczną. Później w podobny sposób abstrahuje się i uosabia inne strony życia społecznego: ekonomię, sztukę itp. Gdy już są tak odosobnione, wtedy szuka się, czy niema między niemi jakiegoś wzajemnego oddziaływania — niby między różnemi osobami dramatu. Tak np. postępuje Th. Rogers w swej „Ekonomicznej interpretacyi historyi".

Ale cała ta abstrakcya nie jest wcale bardziej uzasadniona i zgodna z rzeczywistością, niż wogóle *werbalizm*, który ciążył dotąd nad historyą i wywoływał szereg fikcyj, służących do tłomaczenia złożonego biegu życia, zaczynając od „zazdrości bogów" starego Herodota, a kończąc na „środowisku" nowożytnego Taine'a. Trzeba przeciwko „czynnikom historycznym" z rozdanemi rolami wystąpić tak samo, jak przeciw tym nic niemówiącym frazesom: „logika rzeczy", „fatalny bieg rzeczy", które tak często dają się słyszeć. Jest to taki sam konwencyonalizm, przez jaki zresztą musiały przejść wszystkie nauki. Oto „ciepło" w fizyce, oto „organy i systemy" w biologii, nie mówiąc już o „sile życiowej" „władza duszy" w psychologii aż do Herbarta. Wszystkie te fikcye z dalszym rozwojem każdej nauki ustępują nowemu pojmowaniu rzeczy: „genetycznemu, ewolucyjnemu i dyalektycznemu": ruchowi atomów, procesowi różniczkowania i całkowania komórek, itd. Labriola tutaj wypowiada zupełnie tę samą myśl, która rozwija w dziełach swych Tarde — tylko Tarde nie ma tej prostoty, co Labriola, jest świetniejszym stylistą i przytem poetą. Myśl ta, to rozbijanie takich fikcyjnych całości i uosobień na „atomy", z których się one składają i na które rozkładają. W historyi znaczy to: „te bóstwa wyobraźni zastąpić rzeczywistymi, pozytywnymi w różnych, określonych warunkach działającymi, żywymi *ludźmi*". Człowiek sam robi swą historyę, a nie jakieś po za nim stojące siły, czy czynniki. Nie w tem znaczeniu oczywiście człowiek sam robi swoją historyę, żeby jego świadomy, celowy plan w całości i dokładnie się urzeczywistniał; tego nigdy nie bywa i przeciwnie, rezultaty w historyi nigdy nie odpowiadają zamiarom pojedynczego człowieka, zawsze pokrzyżuje je coś, co wskutek tego człowiek skłonny jest właśnie uosabiać, uważać za „zazdrość bogów" lub też „siłę rzeczy". Jedną z cech zasadniczych materyalizmu historycznego jest ciągłe podkreślanie tej nadzwyczajnej względności dążeń jednostek. Ale nie mniej zasadniczem dla materyalizmu historycznego jest twierdzenie, że pomimo to wszystko w społeczeństwie i jego historyi jest dziełem samych żywych ludzi, ich krzyżujących się tłumnie osobistych dążeń i wysiłków. A ponieważ człowiek żywy nie da się podzielić na pewną ilość sił odgraniczonych i dopiero oddziaływających na siebie lub nieoddziaływających, tylko jest ciągle jednością, całością, ruchem, falowaniem, więc tak samo rzecz się ma i ze społeczeństwem. Zapewne, idea czynników historyczno-społecznych, choć nie jest prawdziwą, jest jednak czemś więcej, niż prostym błędem. Ona była niezbędną, ona dała możność rozwinąć się poszczególnym, specyalnym naukom historycznym i społecznym, dla których jednostronność była w pewnej fazie wprost warunkiem powodzenia i rozwoju. Pojęcie to i teraz może być czasami niezbędne, nie da się wyprzeć i zastąpić w utartym języku historycznym i socyologicznym. Ale, jeśli go się już używa, to ani na chwilę nie wolno zapominać, że jest to prosta konwencya, czcza abstrakcya. Dziś przyszedł czas na powrót do jedności konkretnej pojmowania życia społecznego. Rozwój poszczególnych nauk doszedł do tego punktu, że zrodził potrzebę „wspólnej i ogólnej nauki społecznej, umożliwiającej zjednoczenie procesów historycznych. *I materyalizm historyczny stanowi właśnie szczyt tego zjednoczenia*". Fałszem jest, jakoby nasz realizm był „buntem człowieka materyalnego przeciw człowiekowi idealnemu"; jest to próba tłomaczenia całego rozwoju ludzkiego wraz z ideałami. Pojmowanie nasze historyi jest organicznem. Labriola odrzuca wprawdzie prawie z pogardą czczą analogię organizmu i społeczeństwa, dobrą tylko do zabawy naukowej, ale przyznaje społeczeństwu organiczność w tem znaczeniu, że jest to czynnościowa całość. I otóż z tego punktu widzenia sam „czynnik ekonomiczny" rozkłada się na „szereg stadyów morfologicznych", powiązanych mnóstwem powikłanych nici z różnemi innemi czynnościami i zmianami. „W historyi jądro i kora stanowią jedno".

Zupełnie podobne myśli, choć w systematyczniejszy sposób, rozwinął Edward Abramowski [1]). Nie stanowi to nowości: już „Nauka filozofii" Marxa (1845) zawiera zupełnie wyraźne oświadczenia w tym sensie; ale trzeba przyznać, że Abramowski i Labriola, zupełnie niezależnie od siebie, słusznie i skutecznie położyli nacisk na tę teoryę.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA

Leopold Staff.

Mistrz Twardowski 1902 r.—Skarb—tragedya w 3-ch aktach, 1904 r.

Z poezyą chwili, dumną rozkwitem swego kunsztu, ceniącą błyski myśli twórczej lub uczucia dla efektów, jakie wywołują, załamując się w „rżniętych z czeskiego kryształu flakonach" rażącą, sprzeczność stanowią utwory Staffa — skupione, prawie surowe w swej powadze, promieniujące mocą wewnętrzną. Tem silniej przeto uwydatnia się ich majestat królewski. Takie wrażenie z pośród poetów współczesnych, budzi tylko Wyspiański—piewca grobów i zetlałych świętości. Obaj oni apoteozują życie głębokie, „bohaterskie"*), wytężone. Tylko to, co w twórczości Wyspiańskiego jest ostatnim etapem, ostatniem ze zdobytych stanowisk, od którego odszedł zaledwie na odległość, dzielącą go od ibsenowskiego ogólnika — „Chrystus-Apollo **) — to dla Staffa było punktem wyjścia. Właściwie bowiem już w pierwszym zbiorku jego wierszy lirycznych, w „Snach o potędze" brzmiało rozgłośnie, choć innemi wyrażone słowy, to wezwanie, które się stać miało motywem przewodnim jego poezyi: „Bracia! Ducha i ramiona tężcie! Dziś piję do was pełną życia czaszą: Za wielkość moją i za wielkość waszą!" Dumne słowa.. ale, żeby nie pozostały pięknie brzmiącym frazesem, należało przerzucić jakiś most przez tę otchłań zagadnień, jaką rozwierają. Gdzie szukać znamion owej wielkości? czem ma być to życie wytężone? jak, porzucając sferę snów o potędze, „własne pożądania iścić"? O roztrzygnienie tych pytań pokusił się Staff w obszernym poemacie: „Mistrz Twardowski." Poemat to pozbawiony niemal treści zewnętrznej, anegdotycznej. Legenda dziejowa jest tu — jak często u Słowackiego — formą nikłą, w której poeta zamyka głęboką treść myślową. Tytuł właściwy mniej ważny od podtytułu: „pięć śpiewów o czynie". Zgodnie z podstawowem założeniem poeta szuka czynu „żywota całego", czynu bohaterskiego, „któryby był ujściem dla „mocarnych niepokojów," wyzwoleniem dla sił duszy, wołających „by je rozpętać, rozwiązać aby w głuchy przestwór strzeliły rozpętaniem młodem, by w górę trysły złotymi wybuchy." Twardowskiego pasowało na bohatera poematu, że jest on jeden z „patrzących w głębie ludzkiego cierpienia, w kipiącą bezdeń krwi, łez, trudów, męki, w odmęty skargi, klątw i złorzeczenia"—na najszczytniejsze więc pójdzie drogi dla znalezienia celu życia, punktu zastosowania dla sił ducha. Pójdzie, bo i jemu zjawiło się „widmo: ofiara katującej Ręki" i rzuciło przed oczy obrazy potworne: „ciężkie na piersi narzucone głazy, twarde kajdany, włożone na ciała, czoła, wyniosłe niegdyś, nędzy knutem spodlone.." Na ów „manowiec twardy, szczęściu sprzeczny," idzie Twardowski, by ludziom pod stopy serce rzucić w śpiewie miłości," by ich obdarzyć szczęściem. A tymczasem „tłum bezwiedny", opętany nienawiścią pali mu dom, za zmowę z czartem wyklina, dziewczynę umiłowaną uwodzi baśniami, „że piekłu oddał się w ramiona." Wówczas w Mistrzu wstaje „obłąkany, ślepy ból człowieczy" i wysyła straszne przekleństwo na usta. Ale to tylko chwila słabości. „O, duszo moja! Niech żar nie spacza ciebie, lecz oczyszcza!" — woła Twardowski. I ta właśnie nienawiść tłumów potęguje jego miłość dla nich. Nieludzkie zapasy hartują go i cel, który sobie postawił, tem szczytniejszym mu się wydaje, tem bardziej jego wielkiej duszy godnym. „Na stos wy chcieli mię wieść. Bo wy w ciemności swojej nieświadomej, Taką się dumą palili bezwiednie, Dumą, co męki dźwigając ogromy, *nie chce być wdzięczną*." To też nie przeszkody, jakie zwalczać musi, łamią Twardowskiego. Za męki, które stają się jego udziałem; błogosławi tłumom. „Jam cierpiał, ale w waszej duszy na dnie czułem tę dumną wielkość mego ludu." Porażkę przynosi mu dopiero ta chwila, gdy sny jego mają się ziścić. Lud oblega jego dom, dowiedziawszy się o cudownych lekach, zbliżających „kres boleści." „Najstarszy z tłumu upadł mi pod stopy,i począł jęczeć w błagającej prośbie... Cały lud jęczał duszą małą, chorą... Za źdźbło radości tak poniżył duszę!" W owej chwili ujrzał Twardowski, że jego „czyn wielki paczył się," że wzbiera burza nad tem, co budował z mozołem, że „trzeba wszystko obalić na pował." Nie znalazł tej wielkości, której szukał, dla której trud krwawy podejmował. „Otom im zwieścił szczęście,i nagle duch im się odprężył i człowiek zgnuśniał... A jam nie przyszedł po to, abym zwężył szerokość waszych piersi..." mówi Twardowski i niszczy swoje dzieło. Jesteśmy więc znów u punktu wyj-

[1]) Le materialisme historique et le principe du phénomène social. Paryż 1898.

*) P. „O Wyspiańskim i Żeromskim" Feldmana.

**) „Achilleis".

ścia. Legenda o Twardowskim, zawarta w pierwszych czterech śpiewach, dała nam tylko negacyę. Przedstawiono nam czyn, *z leżących nazewnątrz*, najszczytniejszy, aby zaprzeczyć mu istotnej wielkości i potęgi. Nie zwycięzki hymn „rozkiełznanych sił“ znajduje Twardowskim w swem dziele, lecz „gnuśność ciszy i więzy kajdanów.“ I nie stosuje się to wyłącznie do jego dzieła, jego czynu.

Każdy cel, który osiągnąć można, odbiera „życiu rozkosz ruchu i pędu,“ pozbawia „dążenia i duszę czyni zastojem.“

Syntezę, właściwy wykład swej filozofii czynu, rozwija Staff w ostatnim śpiewie poematu. Dusza Twardowskiego „otwarłszy swoje tajemnicze wrota, toń swą spowiada... wizyą przeżywa całą treść żywota.“ I mistrz poznaje swój błąd i przyczynę klęski... „Twój brat — to inny zagon, a nasieniem jednem nie można siać dwu łanów.“ Moc swą i siły ducha trwonił więc, oddając je na usługi innym. Należało je zwrócić ku własnemu wnętrzu, „ku głębiom swym milczącym, kędy tajne źródła płyną.“ I w sobie samym znajduje wreszcie mistrz Twardowski „najwyższe bóstwo“, ukryte w pomrocznym kościele — duszę. W niej „siłę, skrytą wśród bezdennej nocy,“ której „sługą chce być i najemnikiem niezawodnym,“ — swoją prawdę jedyną, „Prawda twa szczytem jest twojej człowieczej duszy. Jest twoją treścią i mądrością.“ Rdzeniem zaś „najgłębszym wszechrzeczy, prawdą, która rozbłyska wiecznością, to kwiaty wszystkich dusz naszych, bezswarnie jedną cudowną spojone jednością.“ Takie są ostatnie ogniwa w łańcuchu rozumowań Staffa—Twardowskiego. Mistrz wraca z drogi, którą szedł, poczyna „odbudowywać siebie nanowo,“ „Samemu sobie zdany, dziś sam siebie tworzę!“ brzmią jego ostatnie słowa. I oto, niespodzianie prawie ze słów tych, jak z całego śpiewu piątego, poczyna się wyłaniać teorya filozoficzna, mimo całego szeregu różnic, zbliżona do tołstojowskiej i wyrzeczeniem się niemal wszelkiego czynu zewnętrznego, i treścią zdania: „nasieniem jednem nie można siać dwu łanów“, i apostolstwem „wielkiego dążenia“ i doskonalenia własnych sił duchowych. Czy podobieństwa, których mnóstwo znaleźć można, mają znaczenie, orzec trudno; Staff nie wyprowadził jeszcze zbyt wysoko gmachu swych myśli. Nie odsłania w nich nowych wiązań i ostatnie, większe jego dzieło, tragedya „Skarb“. Węzeł jej tkwi w „Mistrzu Twardowskim.“ Korząc się przed głębią własnej duszy, powiada Twardowski: „Człowiek, ślimaczy wróg bezdni i szczytów, By dojrzeć wszystko krótkowidza okiem, Z ziemią-by zrównał toń, wirch z pod błękitów! I ciebie pragnie swej woli wyrokiem Zbawić otchłannej... tajemniczości“... Owa *obawa głębi*, drzemiąca w duszach ludzkich, buntuje się przeciwko mocom ducha i woli, która je zwraca ku szczytnemu celowi „tworzenia samego siebie“, zdobywania swej własnej prawdy. Tę właśnie tragiczną walkę odtwarza Staff w swym „Skarbie.“ Jest to dramat alegoryczny, może taki, o jakim marzy Przybyszewski w swych „Synach ziemi.“ „Przedstawić serce, mózg człowieka na scenie, powyciągać te robaki z serca z mózgu, upostaciować je, porobić z nich żyjących ludzi.“ Już określenie miejsca i czasu wypadków uprzedza nas o tem, „może nigdzie i nigdy, może w nas i co dzień.“ Staff zbyt wielkim jest poetą, żeby symbole swoje miał traktować jak niewiadome, które ściśle i jednoznacznie określić można w szeregu równań i wyrazić w jakichś wzorach. Jest to przedewszystkiem dramat „żyjących ludzi“ i symbolistyka występuje tu na jaw głównie w słowach Dziwnej i Strażnika, gdy na żądanie tłumu mają odpowiedzieć, czem jest „Skarb.“ Bo „choć są niezliczeni, którzy zań padli“, czem jest ten skarb, ukryty w podziemiach, „kędy nikt się nie trudził zejść“ — nikt nie wie.

Wreszcie tłum obrońców zamczyska, gdy siły jego poczynają się już wyczerpywać w długiej walce z plemieniem „Wichrów z dolin“, domaga się prawdy, chce wiedzieć, czy skarbu „nie okupuje zbyt wielką ceną“, czy „on wart, by kłaść zań żywoty i trudy.“ I Strażnik, który „czuje niebezpieczeństwo, a lęka się dwusieczności powiedzenia prawdy tłumowi, niezdolnemu do lotów wysokich“ odpowiada: „Czemkolwiek jest ten skarb głęboki, w którym tęsknota serca pokrzepienia szuka, jedno pewne: ten skarb nas na wyżynnym szczycie trzymał zawsze i nie dał zejść w dół!“ Słowa Dziwnej, strzegącej skarbu i „patrzącej mu w oblicze“ brzmią jeszcze bardziej tajemniczo: Raz we śnie widziałam go jedynie... Była to księga tajna... Białością swą broni się jej karta pisma znakom... Musicie wyśnić życia najpiękniejszą powieść i *sami* wpisać mądrość w przeznaczenia księgę. Jeno najwyższą mądrość i ducha potęgę wpisać tam wolno.“ Do określeń więc Mistrza Twardowskiego słowa Dziwnej i Strażnika nie dodają nic. W strzeżeniu skarbu przed „Wichrami z dolin“ widział i on już cel żywota, głosił „że przez lata długie, górne i dumne każdy dzień przeżyty dorzuca do treści skarbca klejnot.“ W tragedyi nie miał też poeta na celu dalszego rozwinięcia swych myśli. Upostaciować chciał tylko w swej Sędziwej Doradzie, w swym Starcu-Śpiochu, w kalece Natrętnym — te moce, wrogie wszelkiemu głębokiemu życiu i „wielkiemu dążeniu.“

W „Skarbie“ występuje po raz pierwszy Staff satyryk. Określając na wstępie miejsce wypadków—owych olbrzymich zapasów tragicznych—postawił poeta zbyt pochopnie liczbę mnogą „u nas.“ Naprawiając błąd, każe „publiczności, zgromadzonej w teatrze“ być świadkiem prawie zabawnego intermezza. Jest nim antrakt przed trzecim aktem. Ukazuje w nim Staff Kurka, istotę „trywialną, szyderczą, cyniczną.“ „Wejście Kurka wywołuje obniżenie nagłe całej atmosfery duchowej.“ Istota ta, „obracająca się za wiatrem bez hałasu,“ „przykrawająca, krająca i poprawiająca dawne przesądy Fidyasza“, przedstawia się wreszcie słowy: „Do usług: Współczesny...“

Powinowactwo treści, łączące „Mistrza Twardowskiego“ i „Skarb“ w nierozerwalną prawie całość, zaznacza się poniekąd i w formie tych dzieł. Bo i w ostatnim utworze Staffa porywa nietyle tragizm sytuacyi, co szerokie tchnienie epickie, owe obrazy mistrzowskie, w które tu prawie każde skupienie słów rozwinąć się daje. W obu też dziełach Staffa, zwłaszcza zaś w „Mistrzu Twardowskim“, poetę-myśliciela zwycięża często i usuwa w cień liryk, któremu równego nie wydała nasza „doba liryczna.“

Bruno Winawer.

ZE SZTUKI.

Z portretów lub studyów figuralnych znajdujących się na wystawie w Zachęcie, zasługują na wyróżnienie prace Lauransa, Mordasewicza, Andrychiewicza, Kędzierskiego, Lempickiej, Koźniewskiej, Ejsmonda, Gerson-Dąbrowskiej i innych.

Przywykliśmy już tyle wymagać od Lentza, że nas przeciętnie dobrą rzeczą nie zadowoli. Słabą stroną obecnego portretu jest niezręczna kompozycya. Jeśli malujemy portret „zawodowy,“ a więc literata przy biurku, malarza przy stalugach a uczonego nad mikroskopem itp., to musimy stworzyć w takim portrecie jakieś skupienie się kompozycyjne. Albo te akcesorya będą tłem dla postaci lub się z nią połączą czynnie. Niedość dać w jedną rękę lupę, a pod drugą ogromny wazon, żeby to miało zaraz wyrażać „starożytnika.“ Model Lentza jest z powodu tego wazonu mocno zakłopotany, czuć, że mu on bardzo przeszkadza, a nic a nic nie interesuje. Szkło powiększające w drugiej ręce przypomina trochę bańkę mydlaną. W każdym razie model pozuje sobie, a wazon sobie.

„Obłąkana“ Andrychiewicza jakoś bardzo rozumnie patrzy na widzów. Lasockiego „Pierwszy ogień“ przedstawia dwoje ludzi nagich w nocy przy ognisku. Są to „akty“ dobrze wykonane, lecz należące do ludzi współczesnych, niegardzących ani ciepłą wanną, ani gorsetem. Z pewnością nie takim istotom zawdzięczamy zapanowanie nad potężnym żywiołem.

Romuald Witkowski maluje barwnie i plastycznie, ale linie nóg „Białej damy“ zarysowują się błędnie pod luźną, białą szatą, dla której powstał cały obraz. Szkoda że dla niej poświęconą też została głowa. Mimo że ubranie stanowi dobrą i tłustą plamę ogólną, jest jednak pozbawione większej finezyi.

Z pejzażów, oprócz już wymienionego Fałata, nadesłali: Ziomek, Popowski, Trzebiński, Jasiński Zdzisław, Wywiórski, Austen, Piechowski, Szpondrowski i inni.

Z karykaturami wystąpił Wojtkiewicz.

Rzeźbiarze nie dostarczyli wielkich kompozycyi monumentalnych, ale stanęli dość licznie i to z pracami, zasługującemi na uwagę szczegółową. „Chrystus“ Gardeckiego jest wyborny w ruchu dramatycznym Edward Wittig dał „Lęk“ w białym marmurze. Jest to naga postać kobieca, na której artysta popisał się z dużą techniką w traktowaniu ciała. Stanisława Chrzanowskiego „Głowa z płowemi oczyma“ odlana w bronzie ma dużo ruchu i wyrazu. Tegoż autora „Szkic do nadgrobka“ odznacza się dobrym pomysłem.

Marya Gerson-Dąbrowska, Kuna, Adam Petryna, Henryk Hochman i Stefan Pilati dali kilka dobrych portretów i studyów, a Makowski — dalszy ciąg cyklu płaskorzeźb, przedstawiających w medalionach dobre podobizny ludzi ze świata literackiego i artystycznego. Jagmina „W jutro“ jest rzeźbą dobrze skomponowaną.

* * *

W salonie Krywulta mamy kilka wystaw specyalnych, urządzonych w oddzielnych salkach. Kompozycye fantastyczne Czecha Alfreda Kubiny w większości wypadków nie przechodzą granic dziwactwa, połączonego z wymuszoną nieudolnością. Inne są poprawniejsze, ale za to nieoryginalne, a zaledwie kilka może naprawdę zainteresować treścią, choć forma wszędzie bardzo dużo pozostawia do życzenia. Kubina robi wrażenie artysty, silącego się na udawanie genialnego waryata.

Jakób Weinles zgromadził kilkanaście portretów, studyów i obrazów olejnych o zakresie ideowym, ale w tych ostatnich forma nie stoi na wysokości poważnego założenia. Najlepszym jest pejzaż jesienny z kwitnącymi wrzosami.

Antoniego Gawińskiego „Pasya“ i „Mauzol“ (!?) są zwykłemi dziwactwami. O wiele lepszym jest „Grób samotny.“ Tu artysta potrafił dociągnąć siłę i harmonię barw do dużej subtelności.

Dalszą salę zajmuje art. rzeźb. Bembnowski kilkudziesięciomą wazonami gli-

nianymi, mającymi na celu wyrugowanie tego rodzaju wyrobów zagranicznych. Wielki wazon z irysami jest piękny, niektóre o tyle tylko przypominają nam swojskość, że są ozdobione postaciami naszych chłopów. Figurynki te jednak w żadnej lub w prawie żadnej nie stoją łączności z samym wazonem i nie wiadomo po co gramolą się po jego bokach.

Dla jego ozdoby? Ależ każda ozdoba powinna się łączyć i wiązać nierozerwalnie z samym przedmiotem, który ma zdobić, tymczasem z wazonów Bembnowskiego można doskonale odtłuc figurki i wazony pozostaną wazonami, może nawet piękniejszymi, bo nie obciążonymi bezcelowo tymi dodatkami. Dlatego też mniejsze wazoniki bez figur wydają się najlepszymi z całego zbioru. Formy ich są piękne, choć niezawsze swojskie. Jest to jednak dopiero początek i usiłowania pojedynczego człowieka.

Chcąc jednak zająć poważne stanowisko w tym dziale przemysłu artystycznego, trzebaby pamiętać, że nierozerwalnym warunkiem garncarstwa jest piękna i barwna polewa. W tym kierunku wystawa Bembnowskiego zdradza dopiero pierwsze kroki i ratuje się (zapewne tymczasowo) imitacyjnem podbarwianiem, na ogół zręcznem i gustownem, ale bądź co bądź będącem tylko imitacyą czegoś, czem nie jest.

Uwzględniać to można w rzeźbie czystej, gdzie wielkie koszty zmuszają artystę do podbarwiania biustu terrakotowego na stary bronz z zielonkawą patyną. Uważa się to jednak, jako coś prowizorycznego. Gdyby artysta miał środki na to, toby tę rzeźbę odrazu kazał odlać w bronzie.

Kto jednak chce wzbogacić nasze garncarstwo, ten nie może ukrywać, ale przeciwnie, powinien na pierwszy plan wysuwać wszystkie właściwości garncarskie przedmiotów, a więc przedewszystkiem to, że są wykonane *z gliny*. Z chwilą zaprawienia ich na imitacyę bronzu, przestają wzbogacać wzory garncarstwa, a stają się modelami dla bronzownika, gisera i cyzelera.

Leokadya Łempicka zajęła całą salkę portretami główek dziecięcych, pejzażów i kwiatów. Z tych ostatnich najładniejsze są „Maki.“ Większość prac dowodzi dobrej obserwacyi i wyrobionej techniki. Portrety pastelowe, a w szczególności dziecięce, są ulubionym tematem artystki.

Wreszcie ostatnią większą salę zajął swemi pracami Czesław Pełczyński. Rozmach duży znamionuje te szkice, bo przeważnie na szkicu poprzestaje artysta. Rozmach ten jest nawet czasem zbyt duży i ze szkodą dla subtelności przedmiotu. W każdym razie głowy nie są banalne, a w pejzażach czuć dużo prawdy i obserwacyi.

Takie podzielenie lokalu Salonu na kilka specyalnych wystaw między paru artystów, idących odmiennemi drogami, a złączonych tu tylko przypadkowo, bardzo dobrze uwidocznia publiczności wszystkie cechy charakterystyczne i odrębności każdego, zapewniając jednocześnie każdemu z nich kącik oddzielny.

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI

Wacław Nałkowski: **Jednostka i ogół**, szkice i krytyki psycho-społeczne. Kraków. 1904, str. 510.

„Treść niniejszych szkiców — mówi autor we wstępie do książki — jest najrozmaitsza, odpowiednio do faktów literackich i życiowych, jakie się przeciwstawiły na drodze pełnego walk życia. Wszystkie one jednak są atakowane z jednej pozycyi, traktowane z jednego punktu widzenia — z „jednego“, lecz nie z jednostronnego; owszem, jak sądzę, z syntetycznego; uwzględniającego zarówno „jednostkę“, jak „ogół“. Przytem muszę tu dodać, że w mojem pojęciu jednostka jest celem, społeczeństwo tylko środkiem, nie jednostka istnieje dla społeczeństwa, lecz społeczeństwo dla jednostki.“

Autor temi słowy określił jasno stanowisko swoje w każdej sprawie, a poruszył ich sporo w tej książce, zawierającej trzydzieści przeszło prac oddzielnych jak: Reakcya i ewolucya — Skandale jako czynniki ewolucyi — Początki dziedzicznego obarczenia ludzkości — Z dziejów miłości chrześciańskiej — Filozofia praktyczna czyli etyka pastorska itd. itd. W „Forpocztach ewolucyi psychicznej i troglodytach“ w następujący sposób charakteryzuje typy „wielkiego tłumu, opornego na idee“:

„Pośród tego tłumu, który ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać *beznerwowym, zwierzęcym*, ze stanowiska zaś psychologiczno-ewolucyjnego — *troglodytycznym (troglodytami)*, występują wyraźnie szczególnie trzy podtypy, mianowicie: *ludzie-byki, ludzie-świnie* i *ludzie-drewna* (*automaty*) *).

Ludzie-byki to magazyny dość znacznej energii brutalnej; przy wyższym stopniu energii i większej inteligencyi typ ten nabiera niekiedy cech lwich; przy zmniejszeniu się zaś obu, nabywa pewnej „stateczności“, pewnych nawyków, tak zwanych „obywatelskich“ i staje się „wołem“. W życiu są to viveury, wogóle ludzie czynu, często bardzo pożyteczni, nieraz torujący drogę w *zewnętrznem* życiu ludzkości: ze stanowiska jednak psychicznego rozwoju uważane, typy te są czemś w rodzaju zwierząt pociągowych w armii.

Ludzie-świnie to siły marne, filistry najgorszego gatunku, których właściwym żywiołem jest błoto. W społeczeństwie i oni zręcznem wślizgiwaniem się wszędzie, nawet „bez mydła“, zajmują nieraz intratne stanowiska, ale żadnego nie przynoszą pożytku; są oni wstrętnym, hańbiącym balastem w pochodzie ludzkości. Istnieje też pewien podgatunek świń, mianowicie śród ludzi bogatych, którzy *nie potrzebują* się wślizgiwać, popełniać świństw; są to świnie utajone, świnie potencyonalne, albo — *kryptoświnie*. Subtelny nerwowiec potrafi je odczuć przez skórę. Na ujawnienie się, przejście w stan *świń kinetycznych* czynnych potrzebują one tylko drobnego impulsu, podobnie jak owa woda, która nie zamarza tylko wskutek spokoju.

Ludzie-drewna (automaty, maszyny, „szewcy“) to ludzie dotknięci atrofią uczucia. Pod względem fachowym jednak mogą oni stać nieraz bardzo wysoko, być bardzo prawidłowo działającemi maszynami; przytem są zwykle uczciwi (co wobec braku namiętności łatwo im przychodzi), mogą więc być bardzo pożyteczni dla pracy społecznej, do której zostali włożeni bez najmniejszego oporu, sposobem tresunku, podobnie jak psy rachujące, papugi mówiące itp. Ludzie tacy mogą więc być doskonałymi, nawet znakomitymi, szewcami **), wogóle rzemieślnikami, urzędnikami, aptekarzami, uczonymi zbieraczami owadów, jaj, numizmatów i marek pocztowych; bardzo poszukiwanymi profesorami (których w takim razie mogłyby jednak zastąpić fonografy) itd. itd.; dla wewnętrznego jednak, psychicznego, ideowego rozwoju ludzkości, ci ludzie-drewna są może najszkodliwszymi ze wszystkich. Podczas bowiem, gdy ludzie-byki niezbyt są lubiani, z ludzi-świń wszyscy niemal podkpiwają sobie potrosze, to ludzie-drewna, dzięki swej fachowości, uczciwości i neutralności („wytrawności“) mają, u nas zwłaszcza, na opinię wpływ przeważający: są to ludzie „solidni“.

Jeżeli ogólny pochód ludzkości pojmiemy jako walkę, to typy drewniane, obce wszelkim dramatom wewnętrznym i walkom zewnętrznym, dadzą się porównać do ciurów, którzy są wprawdzie pożyteczni przy spełnianiu różnych funkcyi obozowych, ale stoją zupełnie po za walką, bo nie posiadają do tego ani impulsu, ani odwagi, ani umiejętności. Mogą nawet w walce być przeszkodą, jako zawalidrogi.

*) Naturalnie, iż prócz tych typów czystych zdarzają się też i mieszane, pośrednie: *świnio-byki świnio-drewna* itd.

**) Zastrzegamy się tutaj przed możliwym zarzutem, jakoby śmy lekceważyli lub pogardzali pewnemi zajęciami lub stanowiskami; na każdem stanowisku można być nietylko maszyną, spełniającą swój fach, lecz i człowiekiem, to znaczy, — indywidualnością psychiczną, wysoko rozwiniętą; lecz to bynajmniej niema związku ze stanowiskiem, nieraz właśnie szewc może, jako indywidualność psychiczna, stać nieskończenie wyżej od profesora, inżyniera, doktora, literata, poety itd.; on, będąc z fachu szewcem, może być z psychicznej natury człowiekiem, a oni, z fachu inteligencya, mogą być właśnie „szewcami.“

POEZYE

KRÓLOWA ŚNIEGÓW.

Wiatr szalał... Śniegów burza biała
Ogromne skrzydła w puch rozwiała
I szła potężna, nieskalana
W białawy mrok rozkołysana,
Kładąc się bladych snów pieszczotą,
Ciszą zamyśleń i tęsknotą,
Na dach lepianki słomą kryty,
Na pałacowe, górne szczyty...

Przez stęgłe w marmur szła potoki
I przez umarłych kwiatów zwłoki,
Przez uroczyska pełne grozy,
Przez szare, smutne miast wąwozy,
Szła o północy trwóg królowa,
Nieubłagana i surowa,
Prowadząc widem huf tułaczy
Pod zabobonny próg wieśniaczy.

Pod swe królewskie, lekkie stopy
Śnieżne dźwigała wciąż okopy,—
O narodzonym, bladym świcie,
Co się szarością czołgał w życie,
Z wód okowanych masy zbitej
Alabastrowe kładła płyty...

* * *

Pochłonął nieba strop kamienny
Ostatni poszept boru senny,
Gdy po nad dęby omartwiałe
Rozpięła skrzydła swoje białe.
I patrzał bór, jak rycerz siwy,
Tłumiąc potężne swe porywy,
W błękit umarły i zatarty
Na kształt przeszłości mrocznej karty...
Patrzał, jak tytan nieruchomy,
W zaczarowanych miast ogromy,
Kędy się bramy tajne złocą
I świecą dniem, i świecą nocą...
Kędy w szlak długi, płomienisty
Wędrówki ducha wiekuistej
Toczą się dumne, wielkie słońca—
W jakąś promienną dal bez końca...
Żyją pożarną mocą własną
I nigdy—nigdy nie zagasną...
Patrzał, a łzy mu skrzepły duże
W matowo białe, cudne róże.
I bez szelestu—tajemnicze—
Na piersi sypiąc się dziewicze
Zakamieniałej, cichej ziemi,
Świeciły blaski przymglonemi...
A tytan coraz niżej, niżej
Chylił swych ramion białe krzyże,
Chylił, spragniony snadź pieszczoty,
Której nie zaznał śród tęsknoty.

Snadź wspominał rycerz szczytne dumy.
Głębin swej duszy tęskne szumy.—
Wspominał hasła snadź bojowe
I coraz niżej chylił głowę

* * *

Miałaś błyszczący tron na szczycie,
Kędy trwa wieki niepożycie,
Szlachetna czystość Ideału—
Zaczarowany gmach z kryształu...
Białe, milczące sarkofagi,
W których kształt Piękna leży nagi,
Zaczarowany, nieruchomy,
A nad nim wiszą martwe gromy...
Miałaś swój pałac taki dumny,
Takie wieżyce i kolumny,
Zadumy gmach nieskazitelny,
Gdzie się nie błąkał wzrok śmiertelny.
Nie widział pałac tajemniczy
Ni ludzkich mąk pogańskich zniczy.
Ani pogardy doznał biczy.
Miałaś błyszczący tron na szczycie,
Trwający wieki niepożycie.

Poco opuszczasz zamek dumny,
By dotknąć wieka ziemi—trumny
Lekkiej, wędrownej stopy bielą?
Bo ludzkich dusz nie rozanielą
Te pocałunki, co z nad światów
Spadają na kształt srebrnych kwiatów,—
Ani tej mroźnej ciszy bladość.

Idzie i świeci lodowatą,
Utkaną w gwiazdy srebrną szatą,—
Ponad umarłą glebą czarną,
Niedawno kłośną i ofiarną.
Ściele się cicho srebrno mgławą
Puchowych, lotnych gwiazd kurzawą...

Szklistą źrenicą na sad patrzę,
A mam od śniegu lica bladsze,
Bo oto cud mi w oczach kwitnie
Słonecznie, jasno i błękitnie,—
I zda mi się, że nie martwota
Szkielety drzewin w takt kołosze,
Lecz że to wiosna moja złota
Ubrała drzewa w śniegi kwiatów,
Pełne subtelnych aromatów
I dysze szczęściem—życiem dysze...

Witold Domański.

Życie publiczne w Rosyi.

„Rosya przeżywa dziś niezmiernie ważną chwilę swych dziejów — czytamy w artykule wstępnym 1 numeru *Naszi dni*, dziennika świeżo w Petersburgu powstałego — „Czas przejściowy, trwający od kilku dziesiątków lat, zdaje się dobiegać już końca. Cały szereg kwestyj, z największym trudem i nierzadko ofiarami wysuwanych dotychczas przez prasę i lepszych przedstawicieli społeczeństwa, doczekał się ze strony rządu także uznania za najważniejsze sprawy życia.

Przed nami odsłania się nowa stronica dziejów, zapala się zorza nowego istnienia. Z uczuciem głębokiego zadowolenia i przekonania możemy powiedzieć, że pierwszy kamień pod przyszłą budowę społeczeństwo własnemi położyło rękami.“

Pod tytułem: „Znowu wiosna?“ *Ruś* pisze: „Znowu zaczęto mówić o „wiośnie“. Przez cały rok „wiosna“ i przez cały rok wciąż ta sama flaga jesienna. Kiedyż więc będzie wiosna?.. Zapewne, że kiedyś będzie, ale kiedy?

Pojmujemy, że w życiu narodów pory nie odpowiadają kalendarzowym: nie wystarcza jednak wypowiedzieć frazes: przyjdzie wiosna. Trzeba określić, kiedy nadejdzie wiosna, albo przynajmniej wskazać jej zwiastuny. Heroldowie wiosny rosyjskiej upatrują niewątpliwie jej zwiastuny w Ukazie z d. 25 grudnia, a zapewne także i w owym komunikacie rządowym, który po Ukazie nastąpił.

I jeden i drugi akt, bardzo ważny i doniosły, nie upoważniają jednak do tego, aby mówić o porach roku. Oba te akty wyrażają „zamiary“, nie dokonane fakta, a więc niema w nich ani zawiei zimowej, która trwała prawie przez całe dwa ubiegłe lata, ani uśmiechu słońca wiosennego.

Nowe nieporozumienie co do „wiosny“ pochodzi stąd, że ludzie źle czytają dokumenty pierwszorzędnej wagi. W komunikacie rządowym powiedziano, że organy prasy powinny trzeźwo patrzyć na wypadki bieżące. Pojmujemy to tak: nie rozpłomieniajcie namiętności wiosennych młodemi nadziejami, ale też nie zamrażajcie pesymistycznym waszymiartykulami najlepszych uczuć ludzi „rozsądnych“.

Jeżeli spełnić mamy jedyne do nas, prasy, zwrócone żądanie, to powiedzieć powinniśmy co następuje:

1) Oba wygłoszone akty wyrażają na razie tylko zamiary, by coś uczynić w przyszłości. Pierwszy z nich: oczywiście najważniejszy, wyraża w 8 punktach życzenia przekształcenia rzeczywistości rosyjskiej, według nowego przepięknego wzoru, i śmiało powiedzieć można, że gdyby wzór ten mógł być jakimkolwiek sposobem jutro urzeczywistniony, to nie pozostawałoby nam nic innego, jak błogosławić dzień 25 grudnia, jako początek nowego, szczęśliwego życia. Tak też pojmuje to prasa zagraniczna, która przypuszcza: że po „słowie“ bezpośrednio nastąpi „czyn“.

Dla nas czyn przedstawia się w odmiennem nieco oświetleniu. Niema potrzeby tłomaczyć, że na świecie nie dzieje się nic za poruszeniem różdżki czarodziejskiej i że niema takich czarów, które przenieśćby nas mogły odrazu do takiej szczęśliwej Arkadii, w której szczęściem byłaby nie przyszłość, a teraźniejszość.

2) Drugi dokument odnosi się do przeszłości. Tłomaczy on na przykładach, wziętych ze zdarzeń dwu ostatnich miesięcy, co należy rozumieć pod usiłowaniem zakłócenia prawidłowego toku życia wewnętrznego i kto za podobne usiłowania powinien być szczególnie odpowiedzialnym:osoby, zostające na służbie i prezesowie zgromadzeń społecznegozarządu.

Z tej krótkiej analizy i zwłaszcza wobec równoczesnego pojawienia się obu tych aktów rządowych, logiczny wniosek jest taki: Rząd, uznając potrzebę udoskonalenia porządku państwowego, przystępuje do ogromnej roboty przygotowawczej, która może być dokonaną tylko w warunkach życia spokojnego, a więc wszystkim, którzyby chcieli zakłócić tę robotę, wskazano środki, jakie będą przeciwko nim użyte.

Tylko w taki sposób wytłomaczyć sobie można ukazanie się dwóch tak biegunowo odmiennych pod względem swego charakteru dokumentów w sąsiednich szpaltach tej samej gazety“.

Mosk. Wiedomosti, witając radośnie Ukaz Najwyższy, piszą: „Nie ziściły się nadzieje fantastów i ich przestępne marzenia. Naród rosyjski przekonał się z obu aktów Władzy Najwyższej i Rządu, że Monarcha trwa w tradycyach przodków Swoich, i że podstawy nieograniczonej władzy Monarszej będą niewzruszone. Ukaz Najwyższy każe szanować prawo. Nigdzie zaś prawo nie może liczyć na takie poszanowanie, jak w samowładnej monarchii. Żadna walka stronnictw w ustroju samowładnym nie podrywa praw“.

Zdaniem *Mosk. Wied.* najważniejszem w Ukazie jest rozszerzenie praw instytucyi ziemskich, a zarazem nacisk, jaki położono na tę okoliczność, że roszerzenie to nastąpić ma jedynie w granicach spraw miejscowych.

27 z. m. w sali Pawłowej, jak donosi *Ruś* odbywało się zebranie przedstawicieli i przedstawicielek wszystkich warstw inteligencyi petersburskiej. Byli tam pisarze, literaci, dziennikarze, profesorowie i uczeni, lekarze adwokaci, felczerki itd. Po za osobami, posiadającemi bilety, zapraszające na zebranie i ucztę, przybyło jeszcze mnóstwo innych, które również zaproszono: Podczas uczty wygłoszono mnóstwo toastów. w których wyrażono życzenia możliwie szybkiego ukończenia wojny na Dalekim Wschodzie i przeprowadzenia reform. Goście zaczęli się rozjeżdżać o g. 3 po północy.

Swiet pisze: Gubernator moskiewski zaprotestował przeciw całemu szeregowi petycyj wniesionych do rządu na mocy uchwały rady m. Moskwy. Jednocześnie prezydent m. Moskwy ks. Golicyn wezwany został urzędownie do złożenia wyjaśnień, z jakiego powodu. z nadużyciem swej władzy, poddał pod uchwałę dumy kwestye, leżące po za kompetencyą rady miejskiej, określoną przez ustawy miejskie.

Równocześnie *Russkaja Żizń* donosi, że w sali rady miejskiej, moskiewskiej dn. 25 b. m. odbyło się prywatne zebranie w liczbie 70 osób, na którem zgotowano ks. Golicynowi wspaniałą owacyę. Kiedy ks Golicyn wchodził na zebranie, powitano go grzmiącymi oklaskami, a najstarszy wyborca Kałasznikow odezwał się w te słowa: „Czcigodny książę! Na zebraniu rady rosyjskiej w pamiętnym dniu 30 listopa r. b., które to zebranie zachowają na wieki dzieje samowiedzy narodowej, wywiązałeś się szczytnie z długu względem rodzinnego miasta! Wypowiadając te ożywiające nas uczucia, prosimy Cię książę, abyś wierzył w siłę moralną związku rady miejskie z Tobą i zupełną solidarność wzajemną.“

W serdecznych wyrazach podziękował książę za wyrażone uczucia, które —jak mówił — ozdobią mu schyłek dni i smutek ostatnich chwil 4-letniej pracy dla miasta. Po nowych oklaskach i ucałowaniu się z wyborcą Kałasznikowem opuścił, wzruszony owacyą, książę salę posiedzeń moskiewskiej rady miejskiej.

KRONIKA

— **Wiadomości społeczne.** W Nr. 10342 *Now. wrem.* autor artykułu, podpisanego „Rosyanin“ odpiera zarzuty, poczynione w tymże dzienniku przez p. Glinkę, co do oprocentowania pożyczki miejskiej. „Od roku 1870 — pisze on — cały zarząd gospodarczy miasta jest ześrodkowany w ministeryum spraw wewnętrznych. Magistrat i prezydent miasta o ludności prawie milionowej, z budżetem, dosięgającym w r. b. 20-u miljonów rubli, mogą rozporządzać bez zezwolenia ministeryum-kwotą, nieprzenoszącą 150 rb. lub mieniem tejże wartości. Główną też zawadę dla wszystkich spraw miejskich Warszawy stanowią przepisy tymczasowe z roku 1870. Trzydzieści cztery lata istnieją owe przepisy, które zawiadywanie sprawami i gospodarstwem Warszawy przeniosły do Petersburga. W ciągu tego czasu ludność Warszawy się potroiła, dochody miasta wzrosły we czwórnasób, Warszawa stała się pod niektórymi względami miastem wzorowo urządzonem. Prezydenci: nieboszczyk Starynkiewicz i teraźniejszy Bibikow, robili wszystko, co mogli. Nader często, dla dobra miasta, musieli tak lub owak wymijać, krępujące ich działalność, przepisy. Obaj we wszystkich poważnych wypadkach odwoływali się o pomoc do cieszących się powagą i świadomych danego przedmiotu obywateli, i należy oddać sprawiedliwość społeczeństwu warszawskiemu, że zawsze chętnie i gorliwie dopomagało prezydentom swojego miasta do najlepszego i najdogodniejszego wykonania i urządzenia wielkich przedsiębiorstw miejskich. Jedynie działając na jednakowych z innemi miastami Cesarstwa zasadach, zarząd miejski nietylko Warszawy, lecz i pozostałych miast Królestwa Polskiego zdoła wznieść gospodarkę miejską na stopień, odpowiedni wysokiemu stosunkowo rozwojowi kulturalnemu tego kraju“.

— W mieście mnożą się objawy zastoju — pisze *Kur. Warsz.* — właściciele wielu sklepów postanowili oddalić trzecią część obsługi sklepowej. W mieszkaniach najtańszych po 20 osób mieści się w jednym pokoju; wszyscy śpią na ziemi; powietrze jest straszne, ale lokatorzy są zadowoleni „bo ciepło, choć się w piecu nie pali“.

— „*Warsz. Dn.*“ donosi, że rezerwiści z lat 1887, 1888 i 1890, należący do pułków 48 dywizyi piechoty, powołani podczas mobilizacyi gubernij Królestwa Polskiego, zostali uwolnieni od służby.

— Gazety argentyńskie zamieszczają pogłoskę, że Towarzystwo kolonizacyjne „Ica“ zakupiło w Argentynie 40 „leguas“ ziemi, płacąc za to 3,200,000 „pesas“, czyli około 7,000,000 franków. Mówią, że „Ica“ nabędzie jeszcze 60 „leguas“ ziemi, a na tych 100 leguasach zamierza osiedlić 20,000 wychodźców izraelskich z państwa rosyjskiego.

— „*Warszawskij Dniewnik*“ donosi, „W nocy z dnia 24 na 25 grudnia, w Radomiu, po ukończeniu nabożeństwa wyszła z kościoła grupa manifestantów i wywiesiła czerwoną chorągiew z napisem o charakterze rewolucyjno-socyalistycznym, urządzając następnie pochód ze śpiewami rewolucyjnemi. Na wezwanie policyi oraz patrolów wojskowych do rozejścia się, uczestnicy demonstracyi odpowiedzieli strzałami rewolwerowymi, na skutek czego zawezwano jedną rotę 26 mohylowskiego pułku piechoty. W tymże czasie na miejsce manifestacyi przyjechał dowódca pułku, pułkownik I. I. Bułatow. Wysiadłszy z karety, podszedł do tłumu i przemówił doń, prosząc o rozejście się, ale w odpowiedzi rozległo się kilka strzałów rewolwerowych, z tych jeden powalił pułkownika Bułatowa na miejscu. Wypadek powyższy, będący owocem agitacyi socyalno-rewolucyjnej partyi, nie ma żadnego związku z powołaniem na służbę zapasowych żołnierzy. Zarówno w Radomiu, jak i w innych miastach mobilizacya odbyła się w zupełnym porządku“.

Szkoły i wychowanie. Podczas niedawnej bytności Kuratora warszawskiego okręgu naukowego w Piotrkowie—jak pisze *Tydzień* — nauczycielka języka polskiego w gimnazyum żeńskiem otrzymała naganę za wykład tego przedmiotu w języku polskim i polecenie podania się do dymisyi od przyszłego roku szkolnego.

— Dr. G. Gordon na podstawie najnowszej statystyki urzędowej, zestawia w *Peter. wiedom.* (Nr. 335) dane o stopniu oświaty w państwie rosyjskiem i gdzieindziej. Otóż procent analfabetów śród nowozaciężnych żołnierzy wynosi: w Saksonii i Bawarii 0,0 w Szwecyi 0,2, w Niemczech 0,6, w Holandii 7,3, we Francyi 9,4, w Belgii 16,0, w Austryi 30,8, we Włoszech 42,0, w państwie rosyjskiem 68,9%. Na każdych stu mieszkańców przypada następujący procent uczniów szkół początkowych: w Unii amerykańskiej 20,4, w Anglii 18,1, w Prusiech 17,9, w Szwajcaryi 15,6, w Norwegii 15,2, we Francyi 14,5, w Austryi 13,7, w Hiszpanii 10,5, we Włoszech 8,2, w Japonii 7,6, w Bułgarii 5,2, w Rumunii 4,4, w Portugalii 3,6, w Serbii 3,6, w państwie rosyjskiem 3,4%. Szkół początkowych państwo rosyjskie posiada 84 544, z tej liczby 40,131 szkół z 2,849,000 uczniów znajduje się pod zwierzchnictwem ministeryum oświaty, 42,588 szkół z 1,633,000 uczniów w zawiadywaniu św. synodu, reszta należy do innych wydziałów rządowych. „W ciągu ostatnich lat 6-iu — powiada dr. Gordon — wykształcenie elementarne nie poczyniło w Rosyi żadnych postępów; liczba szkół początkowych nietylko nie wzrosła, lecz spadła z 95,000 na 84,500. A lubo liczba uczniów wzrosła z 3,900,000 na 4,500,000, tłómaczy się to jedynie zwykłym przyrostem ludności. Zatem oświata ludowa, nawet według urzędowych danych ministeryum, znajduje się w bardzo opłakanym stanie.

— W Warszawie powstaje podobno filia towarzystwa zwolenników powszechnego języka „Espero Societo Esperantistacu S. Petersburg“.

Z Dalekiego Wschodu. Rodzina jednego z żołnierzy, walczących na Dalekim Wschodzie, otrzymawszy wiadomość, jakoby dostał się do niewoli, wysłała do niego list do Japonii. W odpowiedzi na to, jak donosi *Czas*, nadeszło z Tokio pod adresem pewnej osoby w Krakowie, wspomnianej w liście, następujące pismo: Cesarstwo japońskie Biuro informacyjne dla więźniów wojskowych Nr. 519. Biuro informacyjne dla więźniów wojskowych w Tokio otrzymało list wewnątrz zamieszczony, adresowany do „Józefa Biernackiego“. Ponieważ nie znajduje się on pomiędzy więźniami rosyjskimi i ponieważ nazwisko wysyłającego nie jest także znane, więc biuro odsyła list pani, której nazwisko jest w nim wspomniane i ma nadzieję, że w ten sposób list zostanie zwrócony na właściwe miejsce. Biuro informacyjne dla więźniów wojskowych w Tokio (pieczęć). N. B. Biuro starać się będzie zawsze, aby żaden list adresowany do polskich więźniów nie przepadł.

Doniesienia urzędowe. Ministeryum sprawiedliwości przygotowywa szereg reform. Zamierzono wydzielić senat, jako jednostkę osobną, zupełnie niezależną od centralnego zarządu ministeryum sprawiedliwości. Zamierzono również zmienić prawo, dotyczące członków sądów powiatowych, sędziów miejskich i instytucyi naczelników ziemskich. Zaprojektowano wprowadzenie sądu przysięgłych wedle możności w całem państwie. Nadto ma być przeprowadzona reorganizacya sądu włościańskiego.

— Z Petersburga nadchodzi wiadomość, że Rada Państwa, rozpatrzywszy projekt o niedopuszczaniu izraelitów ochrzczonych do służby oficerskiej, odrzuciła go, postanawiając, że można ich mianować oficerami.

OFIARY.

Dla głodnych. Zebrane w Kwaterach gub. Grodzieńskiej 2 rub.
Dziakowicz z Mińska 1 rub.
Skowroński z Birska 50 k.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 23 Декабря 1904 г. Warszawa, Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.